

ZNAD WILII



DWUTYGODNIK

Rok V, nr 21 (100)

Wilno, 10 - 23 października 1993

cena 30 ct.
(3000 zł., indeks 383678)

W NUMERZE:

- Wydarzenia moskiewskie a Litwa - s. 2
- "Sąd" społeczny nad AK - s. 2
- Zespół "Znad Wilii" o sobie - s. 4-5
- Filologia polska w Wilnie - s. 3
- Literatura "niczyja?" - s. 6
- Dziewczynom grozi staropanieństwo? - s. 7
- Metoda na krótkowzroczność - s. 8

INFORMACJE

● 26 września prezydent RL Algirdas Brazauskas wyleciał do Nowego Jorku. ● 26 września z oficjalną wizytą na Litwę przybył szef obrony Danii generał Joergen Lyng wraz z grupą oficerów. W ciągu następnych dni odbyły się spotkania z litewskim ministrem ochrony kraju Audriusem Butkevičiusem, dowódcą i żołnierzami brygady „Geležinis vilkas”. ● 27 września prezydentów Litwy, Łotwy i Estonii A. Brazauskas, G. Uimanis i L. Meriego przyjął prezydent USA B. Clinton. ● 28 września prezydent RL A. Brazauskas spotkał się z sekretarzem generalnym ONZ B. Ghalim, prezydentem Zgromadzenia Ogólnego ONZ S.R. Insanally. Prezydent RL odwiedził Komitet Żydów Amerykańskich. Odbyło się też spotkanie z ministrem spraw zagranicznych RFN K. Kinkel. ● 29 września prezydent RL spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Polski K. Skubiszewskim, z którym omówił m.in. sprawę traktatu obu państw, o doskonaleniu pracy przejść granicznych. K. Skubiszewski przekazał zaproszenie prezydenta RP L. Wałęsy do złożenia wizyty w Polsce. ● 5-6 października na Litwie przebywał wiceadmirał NATO P. Woodhead, który się spotkał m.in. z ministrem ochrony kraju A. Butkevičiusem. ● 6 października w Wilnie bawiła delegacja obwodu kaliningradzkiego z kierownikiem jego administracji J. Matoczkinem. ● 7 października do Wiednia na spotkanie szefów państw Rady Europy udał się prezydent RL Algirdas Brazauskas, minister spraw zagranicznych Povilas Gylys, doradca prezydenta ds. polityki zagranicznej Justas Paleckis, inne osoby oficjalne. ● 7 października oficjalną rezygnację ze stanowiska sejmowego Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego złożył Gediminas Kirkilas. ● W poniedziałki osobistych spraw obywateli wysłuchiwać będą premier i członkowie rządu. ● Zastępca prezydenta szwedzkiego banku Bo Krag podczas swej wizyty na Litwie powiedział, że lit jest trwałą i wciąż wzmacniającą się walutą, której jednak wzrost uwarunkowany jest jego deficytowością, zmuszającą mieszkańców Litwy do sprzedawania swych oszczędności walutowych. ● Deficyt budżetowy Litwy na rok 1994 będzie wynosił 132,970 litów, czyli 1 proc. ● Od 5 października rząd ustalił minimalny poziom życia - 36 litów miesięcznie. Minimalna wypłata - 40 litów. ● W Warszawie przy al. Szucha 5 zaczął działać Konsulat Generalny RL. ● 30 września z lasów podkowieńskich wyszedł niedawny lider zbuntowanych ochotników Jonas Maskvytis, który w prokuraturze złożył broń, a po przesłuchaniu został zwolniony z zakazem opuszczania Kowna. ● Z jednostki OSOK stacjonującej w kowieńskiej dzielnicy Aleksotas skradziono 20 automatów. Policja zatrzymała kilku podejrzanych, odzyskała 2 automaty. ● Od 4 października rozpoczął się jesienny zaciąg poborowych do wojska litewskiego. Powołanych zostanie około 4.500 obywateli RL, od 18 do 27 lat. ● Lipcowa sejmowa poprawka do ustawy ułatwiająca prewencyjne zatrzymanie osób podejrzanych o dokonanie przestępstwa dała następujący „plon”: zatrzymano 177 podejrzanych, wszczęto 50 spraw karnych, 1 - przekazano do sądu, wobec 85 osób wysunięto oficjalne oskarżenia, 16 - zwolniono, ale niektórych znów się poszukuje. ● Grupa młodych, ale konsekwentnych rekieterów, zwanych „Małysz” (Maluchy) z Nowej Wilejki po zwolnieniu z aresztu wzięła się do roboty i ze sprzedających na bazarze w Gariunai zebrała zaległy 3-tygodniowy haracz, średnio po 30 USD „od łebka”. ● Od 1 października do Uzbekistanu obywatele Litwy mogą wyjechać tylko z wizą, którą można otrzymać mając zaproszenie do tego kraju. ● Od 2 do 16 października w związku z remontem urządzeń w Kuźnicy nie będzie kursował pociąg 27/28 Wilno-Warszawa, od 4 do 16 października - pociąg Sankt Petersburg - Białystok, zmienione też będą w tym czasie trasy pociągów i innych relacji. ● 7-8 października na Litwie dokonano uroczystości otwarcia meczetów w Niemiezu, Sorok Tatarach i Rajżach. Stało się to okazją dla spotkania społeczności tatarskiej, która liczy ponad 5 tys. osób. Goszczono rodaków z Białorusi, Polski, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Turcji, Rosji. ● Związek Niemców Litwy założył informacyjno-kulturalne centrum w byłym przedszkolu przy ul. Żirmūnų. Zgodnie ze statutem do tej organizacji mogą należeć nie tylko Niemcy... ● 2 października w Wilnie odbył się koncert Symfonicznej Orkiestry Narodowej z Waszyngtonu pod batutą znakomitego Mscisława Rostropowicza.

Opracował A.B.



Jesienią, po niemal czterech latach pracy, doczekaliśmy się setnego numeru "Znad Wilii"...

Fot. Bronisława Kondratowicz

Z MYŚLĄ O DNIU JUTRZEJSZYM PISMA

Gdy w momencie narodzin pisma snuliśmy plany na przyszłość, setny numer wydawał się tak odległy, że aż nieosiągalny. Jednak czas płynął, numerów przybywało. Zamknęły się one okrągłą cyfrą, co w przypadku dwutygodnika oznacza cztery lata pracy, poszukiwania i opracowania własnej specyfiki i stylu. Czym jest „Znad Wilii” - nasi Czytelnicy zapewne w ciągu tego czasu zdążyli się przekonać. To, co było... składam więc do redakcyjnego archiwum, natomiast chcę podzielić się z Państwem rozważaniami o dniu jutrzejszym czasopisma. Jakim ma ono być, aby zaspokoić oczekiwania stałych Czytelników, jak też pozyskać nowych.

Nie trzeba tłumaczyć, w jakich żyjemy czasach, spodziewać się pomocy i manny z nieba. Jedno jest jasne: kończy się pewien etap na naszej drodze. Na wczorajszym dorobku daleko się nie zajedzie. Rzeczywistość sprawia, że należy twardo przyjąć do wiadomości, iż prasa musi po prostu na siebie zarobić. Tym bardziej, że społeczeństwa nie stać jeszcze ani na materialne, ani też często nawet na duchowe wsparcie.

Są różne drogi do zwiększenia czytelnictwa. Wystarczy pójść do kiosku, żeby o tym się przekonać. Nie jesteśmy za traktowaniem gazety jako produktu obliczonego na niewyszukane gusta. Zdajemy też sobie sprawę, iż w tym zalewie periodyków nie za wiele pism, które wyzwoliły się od ciężącego od lat na nich stylu. W wielu Czytelnik nie znajdzie artykułów podejmujących w kompetentny sposób aktualnych zagadnień codzienności, dużo wciąż wypażeń, stronniczości, tandety. Również często szwankuje przestarzała forma przekazywania informacji. Dlatego podejmujemy się wysiłku i próby zmiany również oblicza „Znad Wilii”. Tym bardziej, iż naszą ambicją jest być w czołówce. Dziś, kto nie podąża do przodu, nie rozwija się, ten się po prostu cofa. I musimy o tym pamiętać.

Przed wszystkim w najbliższym czasie trzeba odpowiedzieć na pytanie: dla kogo to czasopismo? Tylko znając adresata nasz kontakt może być owocny. Będziemy dążyć do tego, aby Czytelnik znalazł na łamach „Znad Wilii” praktyczną odpowiedź na wiele swych wątpliwości. Według naszej koncepcji pisma nastąpi znaczne odejście od dotychczasowej tematyki, skierowanej w dużym stopniu ku przeszłości. Etap, kiedy uczylimy się na nowo historii ojczyzny po latach zakłamania mija, nasz wzrok

kierujemy na zagadnienia teraźniejszości. Wymaga ona wiedzy w sferze gospodarki, rynku i prawa. Będziemy starali się więc służyć pomocą i radą w tej materii, w znalezieniu godnego miejsca w nowych realiach.

Uaktualnić pismo pomoże częstszy cykl wydawniczy. W niedalekiej przyszłości prawdopodobnie „Znad Wilii” przeistoczy się w tygodnik. Jest to niezwykle ważna rzecz i z tego powodu, gdyż nie pozwoli to Czytelnikom „odwyczać się” od pisma. Chcemy być też nie tylko nowocześni, ale i bardziej „strawni”, a więc stawiamy na reportaże, wywiady, komentarze, te gatunki rzemiosła dziennikarskiego, po które najchętniej i najczęściej sięga współczesny Czytelnik.

A co z tymi rubrykami, tematyką, do której zdążyli już się przywiązać Czytelnicy?

Nie jesteśmy zdania, że tak od razu należy dokonać mechanicznie zwrotu o 180 stopni. Zresztą jeśli chodzi o realizację planowanej koncepcji - ma to być kwestia pewnej proporcji. Historia i kultura oczywiście nie zostanie wyeliminowana na rzecz jedynie ekonomiki, widzimy również, jak przeszłość ciąży chociażby nad stosunkami litewsko-polskimi, utrudnia w trzeźwym patrzeniu na za-kompleksioną teraźniejszość. Tego nie da się pominąć, jak wielu innych zagadnień. Również sprawy kultury pozostaną w kręgu naszych stałych dociekań. Tym bardziej, iż przy skromnych na ogół możliwościach polskich mass mediów na Litwie „Znad Wilii” odgrywało znaczną rolę w promocji naszego dorobku kulturalnego. Dzięki pismu o naszych twórcach dowiedział się szerszy krąg Czytelników spośród rodaków w różnych krajach. Co do istniejących rubryk, o ich przetrwaniu zadecydują również listy od Państwa. Zresztą z dotychczasowej poczty „Znad Wilii” widać, jakie pozycje czytane są najchętniej.

Zwiększenie częstotliwości wydawania pisma, urozmaicenie tematyczne wymaga oczywiście wysiłku, wciągnięcia do współpracy nowych korespondentów. Chętnie wysłuchamy opinii Państwa, życzliwie i z wdzięcznością powitamy każdą chęć współpracy. Zapraszamy też tych, którzy mają w sobie „dziennikarską żyłkę”, aby zgłosili się do redakcji. Czekamy na znaczny wysiłek, ale i przygoda z pożytkiem dla swych rodaków i Ziemi, na której chcemy budować własną przyszłość.

Romuald Mieczkowski



„Znad Wilii” łączy ludzi

Moje uwagi w pocztę redakcyjną pt. „Wilno i wróżba z ręki” przeczytała była wilnianka, obecnie mieszkająca w Birmingham. Przyjechała ona w 1945 roku do Katowic i, okazuje się, mieszkaliśmy na sąsiednich ulicach. Potem wyszła za mąż i wyemigrowała do Anglii, gdzie i ja przebywałem przez 5 lat. Jak daleko dociera Państwa gazeta i kontaktuje ze sobą ludzi!

I jeszcze należą się redakcji moje podziękowania, że dzięki niej dowiedziałem się o wydaniu w Białymstoku pięknej książki pt. „Tobie Wilno - antologia poetycka”. Zdobyłem ją i jestem zachwycony.

Ze wzruszeniem oglądałem w telewizji relację z pobytu papieża w Wilnie, rozpoznając znajome mi miejsca, a szczególnie kościół Św. Ducha - mój szkolny kościół.

Jerzy Pittner
Katowice, Polska

Gratulacje z okazji setnego numeru! Życzę przetrwania co najmniej do 1000...

Shannon i Paweł Matusewiczowie
Palm Springs, USA

Mam nadzieję, że niedługo już otrzymamy setny, jubileuszowy numer Waszej gazety. Gratuluję wytrwałości, życzę nowych sukcesów i powodów serdecznie.

Marek Tomaszewski
Lille, Francja

„Znad Wilii” czytałem z wielkim zainteresowaniem na statku na Morzu Śródziemnym. Cieszę się, że po zaprenumerowaniu będę mógł na bieżąco mieć wiadomości z Litwy.

Tadeusz Olechnowicz
Nordenham, Niemcy

Wyznaję, że mimo krótkiego spotkania z Red. Naczelny pozostał pod jego trwałym i silnym wrażeniem. O tej rozmowie, jako o ważnym dla mnie wydarzeniu wspominam w swym artykule w „Gwieździe Morza”.

Maciej Konopacki
Sopot, Polska

Dziękuję za „Znad Wilii” - z niecierpliwością czekam na kolejne numery pisma. Choć pielgrzymka Jana Pawła II na Litwę już przeszła do historii, nadal mnie interesuje. Przypominam, jak ogromnie byłem uradowany na wieść, że papieżem został Polak. Ludzie w moim otoczeniu nie mogli zrozumieć tego wzruszenia. Ale oni zapomnieli o moich polskich korzeniach, choć niemal wszyscy moi katoliccy krewni rozsiani po świecie poumierali...

Po śmierci śp. Edwarda Raczyńskiego wspominam tego wspaniałego Człowieka. Pan Bóg darował by mu Prezydentowi RP na Uchodźstwie długie życie na ziemi, ażeby ten wielki bojownik o wolność Polski doczekał się Jej wyzwolenia. Z wdzięcznością wspominam Fundusz Jego Imienia, w którego ramach otrzymywałem dwutygodnik Państwa. Gratuluję z okazji setnego numeru pisma.

Grzegorz Samsonow
Tichoreck, Krasnodarski kraj, Rosja

W trakcie wizyty Ojca Świętego widziałam Go kilkakrotnie w wiadomościach naszej telewizji. Były to jednak sekundy... W „Znad Wilii” o tym znajdę więcej.

Ostatnio chorowałam, miałam operację. W tym trudnym dla mnie czasie otrzymałam dwa numery pisma i zrobiłam wniosek, że „Znad Wilii” lepiej uzdrawia niż wszystkie leki! Całemu Zespołowi Redakcji życzę dużo szczęścia, zdrowia, pomyślności i łask wszelkich, bez których dusza ludzka martwą jest.

Jadwiga Wanda Bielikowa
Zawołżsk, Rosja

WYDARZENIA MOSKIEWSKIE A LITWA

Jeszcze 2 października prasa donosi, że Jelcyń się zgadza na podjęcie rozmów z opozycją i wyznacza swych przedstawicieli do negocjacji z Białym Domem. 3 października tłumy pod czerwonymi flagami gromadzą się w różnych miejscach Moskwy, zachowując się bezczelnie, dochodzi do zdobycia gmachu Rady Miejskiej, obsadzenia telewizji w Ostankino, pada hasło: na Kreml! W efekcie połała się krew. Jak wiadomo, nalicza się półtora setki ofiar po obu stronach, prawdopodobnie nie dolicza się wszystkich. Oglądając na bieżąco relacje przez dwie doby miało się emocje niczym w kryminalnym filmie, tyle że tu działo się prawdziwie. I tym to smutniejsze, tym tragiczniejsze.

Na Litwie zbyt żywo się pamięta własne tragiczne wypadki stycznia 1991. Zbyt świeża własna niepodległość i świadomość ciągłych zagrożeń. Jak sytuacja w Rosji się rozwine nadal, obecnie stanowi temat wielu rzeczowych, do głębszych analiz na Zachodzie, ale nie tylko. To oczywiście przede wszystkim troska państw ościennych, do jakich też zalicza się Litwa.

Może prześledźmy, jak przyjęto zdarzenia moskiewskie tutaj, jak na nie zareagowano. W samo apogeum ich, w niedzielę, wraca prezy-

dent Litwy Algirdas Brazauskas z wizyty w USA. Tuż na konferencji prasowej oświadcza, że jest straszne, gdy przemawia broń, a nie ludzie. Strasznie, że w końcu XX w. w walce o władzę w państwie doszło do tego, że trzeba do rozmów włączyć działa. Prezydent składa oficjalne oświadczenie, w którym się m.in. stwierdza, że Litwa z niepokojem śledzi wypadki, które bezpośrednio i pośrednio ujemnie mogą wpłynąć zarówno na sąsiednie z Rosją kraje, jak też bezpieczeństwo i stabilność całego regionu. Potępiła się w nim siły polityczne, które pierwsze zastosowały broń. Poparto wysiłki Jelcyna na rzecz stabilizacji sytuacji w kraju. Zaapelowano także do własnych sił politycznych i społecznych o zachowanie spokoju i odpowiedzialności, jako że niestabilność wszelka może mieć zgubne skutki dla całego państwa. W tym duchu też złożyło oświadczenie MSZ Litwy, prezydenci wszystkich trzech republik bałtyckich. A jednocześnie przyjęto na spotkaniu kierownika administracji obwodu kalinińskiego J. Matoczkina, z którym prowadzono rozmowy w ramach wcześniejszych umów co do realizacji poszczególnych spraw z zakresu handlu, tranzytu, reżimu wizowego, wykorzystania okoliczności wolnego rynku itp. Świadczyło to o zachowaniu

spokoju i normalnej pracy. Naturalnie, jednocześnie na Litwie przedsięwzięto określone środki w celu kontrolowania sytuacji na granicy państwa, na niektórych obiektach itp. Obrona własnej niepodległości stanowi najważniejszy moment dla Litwy. Mimo to nader ważna jest sprawa nośników energetycznych, innych surowców. Owszem, uwzględnia się możliwość pozyskania paliw z Tatarstanu i Azerbajdżanu, ale natomiast pewna część, produktów naftowych otrzymywana jest tylko z Rosji. W grę wchodzi również rynek zbytu. Jeżeli Polska ma obawy w przypadku nawały uciekinierów, to co mówić o Litwie, która musiałaby się stać wręcz koryta-rzem dla nich, nie mówiąc o ewentualnych własnych opozycjonistach, którzy mogliby wprowadzić niepożądany ferment.

To, co stało się w Rosji jest jakby kolejnym memento dla Rosji. Znany historyk, obecnie zast. szefa grupy operacyjnej ds. stłumienia rebelii oświadczył chyba rzecz wielce istotną: opóźnienie sytuacji w Moskwie to zgaszenie w zarodku wojny domowej w kraju, dysponującym bronią jądrową. Na szczęście, nasze też.

Przygotowała D.P.

SĄD SPOŁECZNY NAD AK Była ława przysięgłych - zabrakło obrońców...

8 października w wileńskim Domu Nauczyciela odbył się tzw. sąd społeczny nad AK zorganizowany przez klub ofiar Armii Krajowej przy towarzystwie „Vilnija” i który, notabene, nie jest zarejestrowany w Ministerstwie Sprawiedliwości, co pozwalało jego działalności w skali kraju uznać za nielegalną. Zaprezentowanie stenogramu z tego teatralizowanego przedstawienia nie wydaje się celowe z tych przynajmniej względów, że nie jesteśmy organem kronikarskim towarzystwa „Vilnija”. Poza tym pomijając samo to zjawisko, już sprawozdanie niewątpliwie przyczyni się do rozjaśnienia ran konfliktu polsko-litewskiego na Litwie. Czy o to tu chodzi? W chwili znanych realiów życia? Czy dzięki takim sądom będziemy lepiej i szczęśliwiej żyć? Powołana przeciw została państwowa komisja do zbadania działalności AK na Litwie, której oficjalnych wyników jeszcze nikt nie usłyszał, więc nie na czasie są inne oceny. „Sąd” poniekąd tłumaczy się tym, że cała ta impreza potrzebna jest właściwie jako pomoc państwowej komisji. Tak, ale można przecież było zebrane dokumenty bez takiej „pompy” przekazać odpowiednim zainteresowanym.

... Grubo przed jedenastą godziną, rozpoczęcia „sądu” przed budynkiem na Wileńskiej 39 kręciło się już kilku... wojaków w czerwonych beretach - ochotników ze Służby Ochrony Kraju. Wewnątrz jeszcze kilku podejrzanie popatrywało na wchodzących. Zaś w przestrzeni sali na 4 piętrze, szczerze wypełnionej, porządku strzegali usadowieni po kątach inni mundurowi z OSOK.

Przyznać należy, nieprzyjemne to uczucie, bo chociaż chłopcy bez broni, to jednak nie harcerzyki czy skauci. Później, jako że spodziewanych ekscesów nie było, wyszli, niemniej z rzadka zaglądając do „sali rozpraw”.

Rozmawiałem z tymi chłopcami, których przełożonym był niejaki pan Aleksandravičius i z którym nie udało mi się spotkać, mimo moich usiłowań. Jak się później okazało, byli jeszcze inni dowódcy. Ale jak zapewnił Arturas Merkys, jeden z organizatorów i kierowników tego kuriozalnego „sądu”, wszyscy oni przyszli z własnej woli, dobrowolnie. Jak mnie zapewnił - ich obecność miała raczej wymowę symboliczną niż praktyczną.

Przebieg „sądu” wyglądał następująco: najpierw zaprezentowano społecznych „sędziów”, później była przedstawiona historia działalności AK na Litwie. Kolejno wysłuchano zeznań świadków i po posiedzeniu przysięgłych ogłoszono wieńczący ponad pięciogodzinną (z przerwą na obiad) rozprawę, werdykt.

A więc, historyk Romas Batura przedstawił dzieje Armii Krajowej na Litwie, z których wynikało, że organizacja ta podlegała rządowi emigracyjnemu w Londynie, zmierzała do odrodzenia granic Polski sprzed 1939 r., dążyła ona do zmniejszenia liczebności Litwinów i innych mieszkańców mówiących nie po polsku na Wileńszczyźnie. W odróżnieniu od grup AK działających na terenie Polski, broniących własnego państwa, oddziały działające na Litwie dążyły do jej okupacji. Wg historyka, AK walczyła przeciwko Litwinom i litewskości, w imię tego wchodząc niekiedy nawet w kolaborację z sowieckimi partyzantami.

Podczas tzw. procesu padało wiele historycznie „oryginalnych” twierdzeń, np. że AK współpracowała z Niemcami, którzy mieli nadzieję z ich pomocą zniszczyć litewskie wojsko dążące do odrodzenia niepodległej Litwy.

Mówiono też, że w czasie akcji AK wyzwalała Wilna strzelano do domów, gdzie się od-

zywano po litewsku; o pogwałceniu prawa egzystencji na własnej ziemi; powszechnym ludobójstwie; przestępstwie w skali światowej. Jednym z „moenych” argumentów świadków było to, że napastnicy podobno mówili po polsku.

Z kolci na retoryczne pytanie - dlaczego wcześniej nie zorganizowano podobnego sądu - padła odpowiedź: winien temu strach przed wielkim sąsiadem, skromność Litwinów.

W werdykcie „sądu” vel komisji stwierdzono, że AK działając na Litwie popełniła wiele ciężkich przestępstw, które można nazwać „etnocydem” czyli ludobójstwem etnosu, należy rozumieć. Dlatego „sąd” zaproponował, aby Sejm RI. uchwalił ustawę, zabraniającą wszelkiej działalności propagandowej AK w środkach masowego przekazu, stawiania pomników i innych pamiątek. Natomiast nie przestrzegających tej ustawy pociągać do odpowiedzialności karnej; rejestracji Klubu AK - jako propagandy ludobójstwa - zakazać; zeznania świadków po dokładnym zbadaniu przez Centrum Ludobójstwa na Litwie, przekazać Prokuraturze Generalnej, której proponuje się pociągnąć do odpowiedzialności karnej winnych dokonanych zbrodni; zaproponować wciągnięcie do tekstu traktatu polsko-litewskiego punktu o kompensacji szkód wyrządzonych przez AK.

„Sąd” się zakończył, sprawa jednak pozostała otwarta, ponieważ nie było drugiej strony, która miałaby coś też do powiedzenia, podania innych faktów itp. Jedno jest pewne - znów ruszyła machina psująca stosunki polsko-litewskie. I tak ab ovo?

Aleksander Borowik

NIE ZWLEKAJ ANI CHWILI, CZYTAJ „ZNAD WILII”

Czytelnicy na Litwie mogą zaprenumerować nasze pismo w urzędach pocztowych. Czytelników z byłych republik ZSRR w tej sprawie prosimy o kontakt z redakcją.

Prenumeratę w Polsce załatwia się poprzez wpłatę należności na konto:

Bank PKO SA. VI Oddział w Warszawie;
konto złotówkowe: Nr 501161-42112989-2510-1110;
konto dolarowe: Nr 501161-42112989-2510-7870.

Cena prenumeraty rocznej w Polsce wynosi 300 tys. zł, półrocznej - 150 tys. zł. Prosimy w dopisku wskazać, że na prenumeratę oraz zawiadomić o tym redakcję.

Prenumeratę na Zachodzie załatwić można poprzez czeki personalne oraz mone'y order, które można przysyłać również pod adresem:

c/o Neal Ascherson, account Nr 70127116,
Barclay's Bank, 146 City Road,
London E.C.1, Great Britain,
zawiadamiając jednocześnie o tym redakcję „Znad Wilii”:
2001 Vilnius, Išganytojo 2/4, Lithuania

Cena roczna prenumeraty wynosi 44 USD lub £ 28. Pismo można zaabonować na dowolny okres. Przypominamy, że Czytelnicy na Zachodzie prenumerując nasz dwutygodnik przyczyniają się do zmniejszenia kosztów dostarczania go dla Czytelników na Wschodzie.

Na wymienione konta można też wpłacać gotówkę na Fundusz im. Prezydenta E. Raczyńskiego z poinformowaniem o tym redakcji.

Sprzedaje się
cały komplet materiałów
do budowy nowego
drewnianego domu 10x11 m.
Wilno, tel. 45 41 36

Do prowadzenia domu w Warszawie, z
własnym pokojem, wysokie wynagrodzenie,
potrzebna samotna pani na czas
dłuższy. Tel. w Warszawie: 44-05-95.
Adres: Aleksandra Niemczykowa, ul. Bru-
na 18 m.1, 02-594 Warszawa, Polska

Cennik reklam w dwutygodniku

na Litwie:

1 cm kw. reklamy - 2 lt, w ogłoszeniach
drobnych - 1 lt;
1/2 strony (550 cm kw.) - 1100 lt;
1 strona (1100 cm kw.) - 2200 lt;

w Polsce:

1 cm kw. reklamy - 10 tys. zł, w
ogłoszeniach drobnych - 5 tys. zł;
1/2 strony (550 cm kw.) - 3 mln zł;
1 strona (1100 cm kw.) - 5 mln zł.
Przy powtórce - zniżka 15% za
pierwsze i 10% za każde kolejne.

Na pierwszej stronie reklam
nie zamieszczamy.

Sprostowanie

W poprzednim nr 20 (99) w tekście literackim dot. środowiska „Zagarów” w podpisie pod jednym ze zdjęć popełniliśmy błąd. Poeta Teodor Bujnicki został pochowany nie na Roszie, jak podaliśmy, ale na Cmentarzu Antokolskim.

Również chochlik komputerowy sprawił, iż w artykule Tomasz Szczepańskiego na s.3 wyraz „uniwersalizm” został napisany niepoprawnie. Przepraszamy za tę nieogledność.

Redakcja

ALGIS KALEDA: POLONISTYKI NIE MOŻNA BYŁO POMINAĆ...



Chcemy być otwarci dla wszystkich.
Fot. archiwum

Jak już informowaliśmy, w roku bieżącym na Uniwersytecie Wileńskim otwarto nowy kierunek studiów - filologię polską. Dwudziestu studentów zdało nań egzaminy wstępne i od 1 września rozpoczęła działalność dydaktyczno-naukową Katedra Filologii Polskiej. O pracy, planach, zamierzeniach i pierwszych trudnościach tej placówki opowiada jej kierownik dr Algis Kaleda - literaturoznawca, który w 1977 roku ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a następnie pracował w Instytucie Literatury Litewskiej AN, wykładając jednocześnie przez jakiś czas w Instytucie Pedagogicznym, Uniwersytecie Wileńskim oraz Uniwersytecie Warszawskim.

W 1984 roku obronił pracę doktorską, obecnie przygotowuje habilitacyjną.

- Jakimi założeniami kierowano się tworząc tę katedrę, jakie stawia sobie ona zadania?

- Pomysł powołania polonistyki na Uniwersytecie Wileńskim dojrzał od dawna, nikt bowiem z poważniejszych naukowców filologów nie miał wątpliwości co do potrzeby takich studiów. Wszak literatura polska od wieków jest

ściśle związana z Litwą: począwszy od wspaniałych kazań ks. Piotra Skargi (pierwszego rektora Uniwersytetu Wileńskiego), poprzez Macieja Sarbiewskiego, wielkich wieszczów romantyzmu, aż po znakomitych twórców współczesnych - Czesława Miłosza i Tadeusza Konwickiego... To są zresztą rzeczy oczywiste, powszechnie znane, ale chyba nie w pełni uświadamiane. We Wszechnicy Wileńskiej od dawna rozwija się różne kierunki filologiczne (ostatnio została otwarta nawet Katedra Skandynawistyki), więc jest rzeczą naturalną, iż polonistyki nie można było pominąć. Szkoda tylko, że możliwość jej utworzenia nie pojawiła się wcześniej. Chciałbym tu podkreślić starania dziekana Wydziału Filologicznego doc. K. Urby, jak też wielu profesorów, np. V. Daujotyty-Pakerienę... Historia pozostawiła nam też wspólne, w dużej mierze polskojęzyczne piśmiennictwo, przebogata twórczość publicystyczna, historyczna, na badaczy posiadających wykształcenie polonistyczne czekają cenne zbiory archiwalne.

Poza tym, jak to zaznaczono na posiedzeniu Rady Wydziału Filologicznego, na którym omawiano sprawę utworzenia katedry, jednym z naszych zadań jest też prowadzenie lektoratów języka polskiego dla studentów innych kierunków, np. historii, medycyny, bibliotekoznawstwa. Mamy nadzieję, że będzie to służyć pogłębianiu związków kulturalnych i wzajemnemu zrozumieniu między naszymi narodami.

- Czy polonistyka na UW różni się od istniejącej na Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym?

- Przede wszystkim na tamtejszej polonistyce mogą studiować osoby, dla których język polski jest językiem ojczystym, my zaś chcemy być otwarci dla wszystkich... Obecnie mamy dwie grupy - dla abiturientów polskich szkół oraz dla tych, którzy polskiego języka nie znają lub znają go bardzo słabo. Po drugie, studia uniwersyteckie w swoim założeniu nie ograniczają się do specjalizacji pedagogicznej, preferują raczej uniwersalną wizję filologii jako szeroką dziedzinę wiedzy humanistycznej. Toteż nasi studenci,

jak sądzę, będą mogli zdobyć fundamentalne wykształcenie pozwalające m.in. także na prowadzenie prac badawczych czy zajmowanie się przekładami. My chcemy dać wiedzę, nawyki, umiejętności, zaś konkretny rodzaj zajęcia wybiera raczej sami.

- Czy sięduło katedrze skompletować zespół wykładowców na odpowiednim dla uniwersytetu poziomie? Kto prowadzi wykłady i ćwiczenia z przedmiotów kierunkowych?

- Niestety, na Litwie odczuwamy na razie brak polonistów legitymujących się znaczącym dorobkiem naukowym. Mamy nadzieję, że z czasem wykształcimy sobie własną kadrę. W katedrze zatrudnione są dwie młode asystentki - Regina Jakubenas (absolwentka polonistyki Wileńskiego Instytutu Pedagogicznego) oraz Wiktoria Ušinskienė (ukończyła filologię polską w Petersburgu), które prowadzą ćwiczenia oraz lektortaty. Oczywiście to zbyt skromne siły, by sprostać zaplanowanej pracy. Ale dzięki pomocy Ministerstwa Edukacji Narodowej RP w tym roku akademickim wykłady prowadzą u nas wybitni specjaliści z Polski: językoznawca z Warszawy; doc. Elżbieta Janus oraz historyk literatury, prof. Tadeusz Bujnicki z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jesteśmy wdzięczni także Ambasadorowi RP na Litwie za okazaną nam pomoc i zainteresowanie. Dzięki jego staraniom jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem pracy katedry otrzymaliśmy od różnych uczelni polskich niezbędne nam do pracy książki.

- Czy utrzymujecie kontakty z uczelniami za granicą?

- Na razie, zajęci sprawami organizacji pracy dydaktycznej nie mieliśmy jeszcze czasu na nawiązanie szerszych kontaktów. Ale pragniemy to zrobić. Więc korzystając z okazji chciałbym za pośrednictwem Waszego pisma zwrócić się do rozmaitych placówek polonistycznych: Katedra Filologii Polskiej Uniwersytetu Wileńskiego chętnie nawiąże z Wami współpracę.

Rozmawiała Maria Hyla

MATKA BOSKA NIEMENCZYŃSKA

Kościółek wiekowy prawdziwie. Jeden z 6 świątyń założonych w dobie Jagiellowej - tuż w chwili historycznej przyjęcia chrztu przez Litwę. Budowla trwała (abstrahując, że ta pierwsza była drewniana), wnętrza dość przestrzenne. Mówię o kościele pw. św. Michała Archanioła, patronującego miasteczku Niemenczyn, 22 km od Wilna.

Od ostatnich lat aktywnie tu działa proboszcz Ričardas Jakutis, Litwin, który w parafii w większej części swej składającej się z Polaków nauczył się biegle polskiego, który oprócz swych obowiązków duszpasterskich z zamiłowaniem szerzy w pełnym tego słowa znaczeniu kulturę wśród wiernych. Poprzez otwarcie domu parafialnego przyciąga ludzi kultury i sztuki, zaprasza społeczność niemenczyńską - litewską i polską. Działa tam stała ekspozycja malarstwa. W skromnych drewnianych „murach” tego domu występowali śpiewacy tej miary, co znakomity solista Virgilius Noreika, publiczność też miała okoliczność wysłuchać niejednokrotnie poezji, w tym grona wileńskiego poetów polskich. Krócej mówiąc, w Niemenczynie, gdzie obecnie stoi pod dachem świeżo wybudowany Dom Kultury (czeka jeszcze cały ogrom prac wykonawczych i kiedy będzie oddany do pełnienia jego funkcji na razie nikt bliżej nie wie), ale nieczynny, dom parafialny pełni funkcję ośrodka społeczno-kulturalnego. Przy tym służy integracji tutaj mieszkających wymieszanych narodowościowo, jak wszędzie na Wileńszczyźnie, stanowiąc niezły przykład dobrej woli stron zainteresowanych. Jest to ciekawy, aczkolwiek może nie wszędzie jeszcze upowszechniony, fenomen życia parafialnego.

Szeroko działają inni znani księża w swoich parafiach. Naprawdę wielu tu wymienić by trzeba, ale faktycznie każdy z nich zasługuje na odrębne wyczerpujące potraktowanie, stąd niech w przyszłości o nich, w innym porządku rzeczy. Chodzi o to, że szczęściem jest mieć takich duszpasterzy, którzy potrafią wskrzesić życie wspólnoty religijnej. Ostatnie lata szczególnie temu sprzyjają, cokolwiek by mówić. Wileńszczyzna ma jeszcze i tę okoliczność, że mamy pomoc księży-rodaków znad Wisły.

Wizyta na Litwie Ojca Świętego uduchowiła wiernych jeszcze bardziej. Nawet niedowiarkowie mieli chwile, by przemysleć wiele

spraw ducha, rozterek, że na jałowej ziemi nic nie rośnie, przynajmniej pożytecznego. Że glebę trzeba pieścić, hołubić, żeby wyrosło dobre ziarno. Co mówić o zapuszczonej duszy ludzkiej. W Niemenczynie idea odrodzenia duchowego, jakiegoś materialnego jej śladu zrodziła się dość dawno. Myśl taka przyświecała merowi miasta, oczywiście rodziła się z różnych obserwacji, rozmów, pomysłów. Stanęło na ufundowaniu posągu Matki Boskiej. I oto nastąpiło to sfinalizowanie. Posązek postaci NMP wykonał opolanin Felicjan Doliński, dzięki pomocy senatora poprzedniego Sejmu RP Alicji Grześkowiak i Doroty Simonides. Cokół z granitu ufundowało samo merostwo i uszlachetniono w miejscowej pracowni kamieniarskiej.

W uroczystej chwili odsłonięcia i poświęcenia posągu Matki Bożej mer Niemenczyna Mieczysław Borusewicz powiedział m.in.:

- Mamy za sobą 50 lat prześladowania wiernych, wywóz kapłanów na Sybir, niszczenie świątyń i krzyży przydrożnych. W tym uroczystym dniu pragnę oddać hołd naszym dziadkom i rodzicom, którzy już nie żyją, jak też wszystkim parafianom, którzy wykazali niezłomność ducha i dochowali wierności Panu. Pół wieku wpajania ateizmu, walki z chrześcijań-

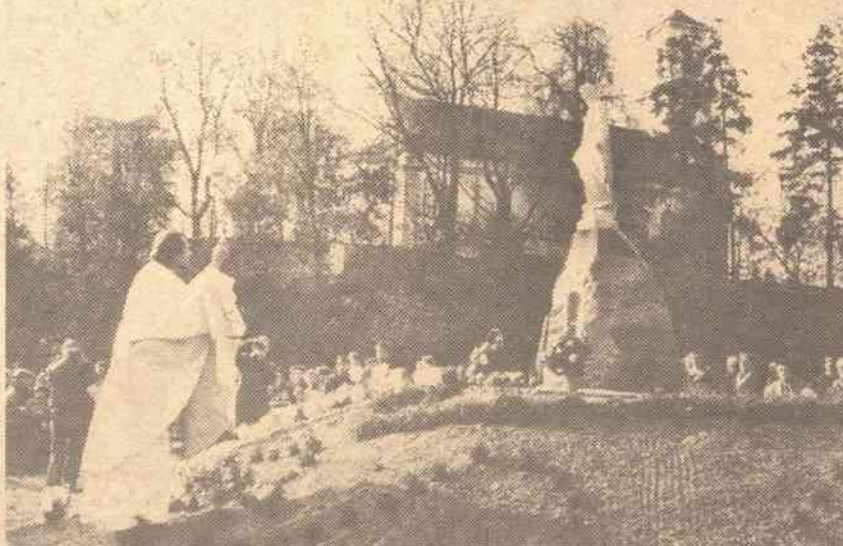
stwem zostawiły głębokie blizny w duszach ludzkich. Potrzebne są lata, by społeczeństwo przeszło rehabilitację duchową. Dzisiaj widzi mi, że szatan nie daje za wygraną, sieje niezgodę w rodzinach, wśród krewnych i narodów. Otóż napis na cokole - ta prośba *Naucz nas, Matko, kochać i przebaczać* - jest aktualny dla nas wszystkich. Jakież wymowne znaczenie tych słów, m.in. wypowiedzianych przez papieża Jana Pawła II podczas pielgrzymki do Litwy. Przemawiają one do serc każdego z nas. Kochać to znaczy wybaczyć. Wybaczyć - znaczy przezwyciężyć samego siebie.

Poprzedzające nabożeństwo, jak też w chwili odsłony posągu swą obecnością zaszczytili parafię niemenczyńską premier Litwy Adolfas Šleževičius z małżonką, przedstawiciele władz rejonu, Niemenczyna.

Świętoności przysporzył uroczystości chór z litewską solistką J. Ščiukaitę, szczególnie podniosłe zabrzmiała wykonana przez nią „Ave, Maryja”. Mszę św. celebrował ks. Krzysztof Korzeniewski z Polski.

Wieczorem zaś w domu parafialnym odbył się koncert pianistki litewskiej zamieszkającej w Polsce, Aldony Dvarionaitė.

D.P.



Naucz nas, Matko, kochać i przebaczać...

Fot. Bronisława Kondratowicz

Echa naszych publikacji

Kongres Uniwersalistyczny w Warszawie

Serdecznie dziękuję P. prof. dr hab. Jokubasowi Minkevičiusowi za wspaniały artykuł („Znad Wilii” 18/93) - nie tylko wielce sympatyczny, ale także bardzo mądry i głęboki. My, wszyscy uniwersaliści, powinniśmy istotnie dawać przykład, jak powinny wyglądać stosunki między ludźmi i narodami.

Przekazuję całej delegacji litewskiej me podziękowanie za tak twórczy wkład w Kongres. Liczę na dalszą współpracę.

Osobno przesyłam dla wszystkich Braci Litwinów materiały i proszę o rady - czy można realizować takie Forum Dialogu i Uniwersalizmu, Międzynarodowe, też u Was? Jak możemy pomóc z literaturą, co jest potrzebne?

Prof. Janusz Kuczyński,
Warszawa, Polska

(Z listu udostępnionego redakcji przez Autora publikacji)

Veritas premitur, non opprimitur

W tekście opublikowanym w dwutygodniku P. prof. Jokubas Minkevičius nawiązał do dyskusji o stosunkach litewsko-polskich, która odbyła się w Warszawie 18 sierpnia br. Dyskusji przewodniczył P. dr Leon Brodowski. Zdając sprawę z tej dyskusji, P. prof. Minkevičius napisał m.in.:

„Powstała kwestia Uniwersytetu Polskiego w Wilnie choć i w atmosferze wzajemnego zrozumienia, to wywołała spór. Jedni Polacy uważają, że władze litewskie zabraniają uniwersytetu, inni byli zdziwieni, że taki istnieje i nie brali tego poważnie. (...) Kompletniej odpowiedzi w tej kwestii udzielił przewodniczący sejmowego komitetu do spraw oświaty, kultury i nauki prof. B. Genzelis. Jego zdaniem, jak również zdaniem L. Brodowskiego i innych uczestników dyskusji, trzeba koniecznie rozwinąć studia polonistyczne na starym Uniwersytecie Wileńskim i w nowym Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym. Historia generała L. Żeligowskiego, choć była poruszona, nie przyciągnęła jednak większej uwagi i nie wywołała dyskusji”.

Uczestniczyłem w tej dyskusji i stwierdzam, że:

(1) Kwestia Uniwersytetu Polskiego w Wilnie nie powstała „w atmosferze wzajemnego zrozumienia”, lecz została przede wszystkim osobiste podniesiona w chwili, gdy dyskusja miała być już zamknięta. Podniosłem tę kwestię z dwóch powodów. Po pierwsze, została ona umieszczona w programie obrad. Po drugie, wypowiedzi Gości z Litwy - dość zresztą skąpe - pełne były pięknie brzmiących frazesów, ja zaś przyszedłem na to spotkanie, gdyż chciałem usłyszeć, co myślą Oni w sprawach konkretnych.

(2) Kwestia Uniwersytetu Polskiego w Wilnie była przedmiotem wymiany zdań wyłącznie między mną a P. prof. Bronisławem Genzelisem. Na moje pytanie, czy obecne władze litewskie skłonne są zarejestrować UPwW, P. prof. Genzelis odpowiedział, po pierwsze, że wniosek o rejestrację w ogóle nie został przez P. prof. Romualda Brazisa dotąd złożony (sic!), i po drugie, że jeśli nawet zostanie złożony, to On i Jego Koledzy parlamentarni się na taką rejestrację nie zgodzą. Na moją prośbę o uzasadnienie odpowiedział ogólnikami, z których nic nie rozumiałem. Ze swej strony wskazałem, dlaczego UPwW powinien być zarejestrowany, i dlaczego - moim zdaniem - warto to zrobić. Powinien być zarejestrowany m.in. dlatego, że w wolnym kraju każda grupa obywateli ma prawo założyć dowolną instytucję, byleby nie była to instytucja przestępcza. Warto zarejestrować UPwW m.in. dlatego, że środowisko naukowe Litwy otrzymałoby w ten sposób możliwość dodatkowego wyboru „rynku zbytu” swojej twórczości - poza rosyjskim (scilicet dotychczasowym) i tzw. międzynarodowym czyli anglojęzycznym (nb. więcej niż trudnym do zdobycia). Zwróciłem uwagę na to, że niewykorzystanie sentymentów prolitewskich istniejących w Polsce (a malejących proporcjonalnie do liczby polakozerczych posunięć administracji litewskiej) byłoby po prostu krótkowzrocznym marnotrawstwem. Na tym zakończyła się nasza wymiana zdań - i całe spotkanie. Nikt nie wyraził „zdziwienia”, że UPwW „istnieje”, ani że „nie bierze tego poważnie”.

(3) „Historia generała L. Żeligowskiego” nie została w czasie spotkania w ogóle serio poruszona (P. dr Brodowski zażartował sobie jedynie, że Marszałek Józef Piłsudski nie mógł nie zająć Wilna - cóż by bowiem powiedziały na to wileńskie przekupki...); nie mogła więc „wywołać dyskusji”. A szkoda, bo była okazja rozbicia mitów, które politycy litewscy uporczywie włączają w głowy swoich współobywateli. Oczywiście przy założeniu, że głowy naukowców są stosunkowo odporniejsze na kłamstwo. Czy aby jednak na pewno?

Prof. dr hab. Jacek J. Jadacki
Uniwersytet Warszawski, Polska

WYDANIE SETNE: WIELOGŁOS O SOBIE

Aleksander Borowik, redaktor.
W „Znad Wilii” od 1991 roku:

Dwa razy zwątpilem...

Po ukończeniu w 1991 roku studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Wileńskim, wzmocnionych dodatkowo dwuletnią „twórczą praktyką” w szeregach Armii Radzieckiej, otrzymałem dyplom i wolną rękę w wyborze miejsca pracy, co kiedyś było niemożliwe - przynajmniej w ciągu pierwszych kilku lat (wystawiająca rekomendacje organizacja miała pierwszeństwo w wyborze młodego specjalisty).

Jeszcze w latach studenckich pociągała mnie praca w dwutygodniku „Znad Wilii”, z którym współpracowałem. Pociągała wówczas prawdziwie dziennikarska atmosfera - koleżeńskie stosunki, możliwość wyrażenia własnego zdania, szeroka gama publikowanych tematów, nienormowany (a przez ludzi impulsywnych i romantycznych szczególnie ceniona zaleta) czas pracy.

Mimo możliwości stabilnej pracy w państwowej gazecie postanowiłem wypróbować swe siły w gazecie prywatnej. Koledzy starsi wiekiem i doświadczeniem służyli pomocą w starcie, dopasowaniu *młodogniewnych* słów do i literackiego stylu gazety.

Wybór gazety w niedawnym stosunkowo czasie był też krokiem politycznym. Kiedy ówczesny lider ZPL-u usłyszał o mojej decyzji, na chwilę zaniemówił, a później zaczął mijać gromy na gazetę, jej założycieli, a także na czarny mój los po upadku gazety.

Wiedziałem, że nie wszystkim odpowiadał kierunek dwutygodnika na współpracę Polaków i Litwinów (która przecież kiedyś musi nastąpić - wszak mieszkamy w jednym kraju), ale podbudowany perspektywą twórczą, a to dla żurnalisty rzecz najważniejsza, pracy i obiecana szansa szkolenia swego warsztatu także za granicą przyszedłem do obozu „Znad Wilii”.



Jednak dwa razy zwątpilem w swój dziennikarski wybór pracy, a także *inakomyslnaszczej* gazety. Było to podczas krwawych zająć w 1991 roku. Wtedy było jasne, że jeżeli demokracja przegra - zamknięte zostaną niepaństwowe gazety, a ich dziennikarze zostaną napiętnowani. Pomagałem wtedy redaktorowi naczelnemu zbierać informacje o dalszym biegu wydarzeń, zdjęć z masakry pod więżą telewizyjną. Żałowałem przez chwilę, że nie mam bardziej „neutralnego”, niepolitycznego zawodu. Ale upór i wiara tych kilku osób, co robiło gazetę, dodawały mi otuchy, że to, co robimy jest słuszne.

Druga chwila, trwająca zresztą dłużej, przyszła wraz z surowymi prawami ekonomiki rynkowej, kiedy z niebieskich dziennikarskich niebios wypadło grzmotnąć o ziemię, gdzie zaczęły coraz głośniejsze brzęczeć pieniądze. Bo pieniądze dziennikarzowi potrzebne są też i na pracę: czasami trzeba wyjechać w teren, a chcąc być niezależnym od kapryśnych usług transportu państwowego wypada posłużyć się własnym samochodem.

Odkryłem też nie będzie fakt, że z dziennikarskich pieniędzy domu się nie zbuduje, a kąt swój przecież chciałby każdy, nie mówiąc, że powinien, mieć.

Najgorzej jest zawsze być tym pierwszym pokoleniem, które na własnej skórze musi zbadać zimną toń nowych realiów. Rewolucyjnie prowokującymi były więc przytyki starszych, że trzeba korzystać z szansy wolnych czasów, robić nazwisko, karierę.

Nie warto się uskarżać na obecne prawa dżungli wolnorynkowej, bo człowiek w końcu się zahartuje, ale nie trzeba też zapominać, że my, młodzi musimy wszystko zdobywać sami, zarabiając nie zawsze zresztą możliwe do wyegzekwowania dziennikarskie grosze, zmuszeni wysłuchiwać często powtarzanego trywialnego zwrotu - „teraz są nowe czasy”. Tak, ale chyba nie ludzie.

Właśnie ten okres próby „na ludzkość” daje twarde, ale optymistyczne lekcje dla doświadczającego wszystkich uroków życia dziennikarza. Mimo wszystko cieszę się z takiego życia, bo chyba kiedyś dziennikarstwo nie będzie tylko hobby.

Wracając zaś do ostatnio coraz popularniejszej astrologii - jestem spod znaku Byka - więc przydadzą się siła i upór.

Irena Dejnarowicz, redaktor techniczny.
W „Znad Wilii” od 1990 roku:

Moim życiem zrzucił przypadek



Ukończyłam Instytut Pedagogiczny, wydział języka i literatury polskiej. Pracowałam później w szkole, ale szczerze sobie wyznałam - nie trafiłam właściwie, nie ten zawód obrałam. Lubię działać, z natury jestem impulsywna. Definitywnie stwierdziłam, że przypadek mnie wprowadził do pracy w szkole. Ufałam jednak w swoją, wierzę, że szczęśliwa, gwiazdę i czekałam na następny... przypadek. Umiąłem dobrze i szybko pisać na maszynie, więc postanowiłam przez jakiś czas skorzystać z oferty w redakcji „Znad Wilii”.

Zaczęłam od wpisywania tekstów na komputer, później opanowałam łamanie stron. Do tego doszła praca dla spółki, radia „Znad Wilii”. Odpowiada mi taki styl pracy: mogę pracować w dogodnym dla siebie czasie. Chociaż nieraz od nadmiernego wyłączenia bolały oczy, ale mam nadzieję, że kiedyś będziemy mieli wydajniejsze komputery, doskonalsze programy, bo wiem, że umiem zastrajkować w najmniej odpowiednim momencie. Dobrą nauką był przypadek, kiedy wpisałam ostatni, najdłuższy tekst do kolejnego numeru dwutygodnika, zapominając o utrwaleniu w pamięci komputera. Cała praca poszła na marne - teksty „wyleciały” i musiałam do późnej nocy od nowa pracować.

Umysł mam analityczny, więc więcej nie miałam trudności z poznaniem tajników komputera. Pociągają mnie coraz bardziej skomplikowane programy, których rozgryzanie, podobnie jak krzyżówek, lubię najbardziej.

Sądzę, że do „Znad Wilii” sprowadził tu mnie dobry przypadek i na długo.

Wanda Marcinkiewicz-Mieczkowska, redaktor. W „Znad Wilii” od początku:

Trzymając się brzegów Wilii...



Odkąd dzieci troszeczkę podrosły, zawsze starałam się pomóc mężowi. Widziałam, jak dużo pracuje, ile pożytku przynosi innym. Kiedy powstawało „Znad Wilii”, podświadomie czułam, że poświęci się temu całkowicie, mniej go będę miała dla siebie. Dlatego postanowiłam być razem, tym bardziej, że dotkliwie brakowało ludzi. Nie wiedziałam wtedy, że dziennikarstwo potrafi tak wciągnąć.

A zaczęło się od tego, że obok Czesława Okińczycza (poznano go właśnie w tamtych dniach) oraz plastyka Władysława Mieczkiewicza (wyjechał z Litwy), autora winiety z tytułem, podjęłam się nie lada zadania: wiozłam do Warszawy teczkę z materiałami do pierwszego numeru. Mieliśmy tam właśnie je zmakietać. Red. naczelny, prywatnie mój mąż, nie mógł pojechać ze

względów rodzinnych, a dla nas niezmiernie ważnych - właśnie wtedy podejmowano decyzję o przydziale większego mieszkania spółdzielczego, gdyż według tamtych ustaw posiadaliśmy już „rodzinę wielodzietną”. Realnie do tego mieszkania po wielu perypetiach przeprowadziliśmy się dopiero od roku. Ale powracając do grudniowych dni *Anno Domini* 89. Wtedy w Warszawie, w redakcji zaprzyjaźnionej z nami „Res Publiki”, po raz pierwszy dowiedziałam się, co potrafią komputery. Z tamtych dni zapamiętałam, jak nam smakowały kupione w nocnym sklepie przez naszych przyjaciół buteczki. Jedząc je wpisywaliśmy artykuły. Przy moim „jednym palcu” i wprawnych rękach Marka Nowakowskiego i Eli Sawickiej teksty pozyskały gazetową formę. Szkoda tylko, że pod nieobecność naczelnego doszło do pewnych nieścisłości: we wstępnym artykule tego historycznego numeru, pominięte zostało jego nazwisko. Nie potrafiłam „obronić” w dyskusji przywiezionej winiety, na której św. Krzysztof był wykonany „zbyt nowoczesnie”, lapidarną kreską. Wizerunek jednak pozostał - wtedy byliśmy pierwsi, którzy go umieścili.

Złożone na bazie „Res Publiki” strony przywiozłam do Wilna. Powiem szczerze, że się bałam. Bardzo rzadko jeździłam za granicę, prawda, literatura z okresu „Solidarności”, schowana w białym papierze, mogła być groźniejsza w skutkach, aniżeli skromnie zwiniętych w rulonik osiem błon fotokładu. Jednakże ryzyko, mimo wówczas zaawansowanej „pierestrojki” było znaczne.

Pierwszy numer, jak i wszystkie pozostałe, był drukowany na miejscu, w tzw. Domu Prasy w Wilnie. Wyjątek stanowiły numery drukowane w Ukmergė (Wiłkomierz), kiedy to Dom Prasy został zajęty przez żołnierzy radzieckich. Drukarnia tamta nie była tak zmechanizowana i gazetę otrzymywaliśmy w „kawałkach”. Kioski nie chciały jej przyjmować w takiej postaci, więc w ciągu nocy cały, chyba 12-15-tysięczny wtedy nakład miał być poskładany w całość. O tym więcej mógłby powiedzieć Zdzisław Tryk, który dowodził „ekspedycją” do Ukmergė.

Po pierwszym numerze polscy dziennikarze przez pewien czas pomagali nam na miejscu przy składzie. Gdzieś od 5 numeru posłaliśmy samodzielną drogą, trzymając się mocno brzegów Wilii. Jednakże koledzy zawsze interesowali się, jak nam się powodzi, cieszyli z naszych sukcesów, służyli radą.

W pamięci pozostał mój „chrzest” dziennikarski, który odbył się w... Belwederze, w czasie spotkania Prezydenta RP z przedstawicielami prasy polonijnej na świecie. Wtedy to niejaki p. Aleksander Pruszyński, podobno z Kanady, ten, który i na Litwie wniósł wiele zamieszania w czasie narodzin niepodległości, mocno zaatakował „Znad Wilii”. Operował „argumentami”, jakie rozpowszechniali nasi przeciwnicy. Zahartowała mnie ta potyczka, tym bardziej, że sam Lech Wałęsa poparł mnie i przyznał rację - naszej działalności. Wtedy dałam sobie słowo, że nie pozwolę wyprowadzić siebie w pole, jak też publicznie oczerniać pracę, która wymagała tak wiele poświęcenia.

Właśnie te początki w pamięci utkwiły najbardziej. Może dlatego, że zaczynał się dla mnie inny, nowy rozdział w życiu, również z wielką przygodą dziennikarską - przedtem byłam nauczycielką w Wileńskiej Szkole Średniej im. A. Mickiewicza.

Romuald Mieczkowski, współzałożyciel pisma, redaktor naczelny:

Gazeta tak naprawdę żyje w naszych sercach

Przystałem na redagowanie pisma, gdyż o czymś takim marzyłem od dawna, zaś w tamtych czasach przesilenia niepodległościowego nie było gdzie, jeśli chodzi o polskie mass media na Litwie, drukować podobnego typu artykułów. Stosowałem wtedy, być może, zbyt „romantyczne” podejście do sprawy - uważałem bowiem, iż głosząc hasła niezawisłości, braterstwa, zgody, przywiązania do ojczyzny, nasze przedsięwzięcie znajdzie szerokie zrozumienie. Na początku jednak tak się nie stało. Nikt nie szansa na szybkie zwycięstwo w realiach sprzed 4 laty oraz silna walka polityczna sprawiały, że patrzono na nas w niektórych środowiskach jak na trędowatych, zagorzali zwolennicy istniejącego systemu uruchomili cały arsenał spekulacji.

Te próby hartowały, przywiązały mocno do gazety. Jak do własnego dziecka: dałem mu przecież imię, troszczyłem się o jego wzrastanie. Dziś wymyślony przeze mnie tytuł „Znad Wilii”, który gorąco zaaprobował przebywający wówczas w Wilnie literat ze Śląska Tadeusz Kijonka, rozłożył się i na rozgłosie radiową. Ze 100 numerów pisma nie ma ani jednego, w którym nie znalazłby się co najmniej jeden mój artykuł. Nie ma też numeru, którego „nie dotknąłbym” ręką w trakcie pracy wydawniczej - nie śleczął nad materiałami, nie liczył linijek w trakcie makietowania, nie zastanawiał się nad ilustracjami. Niestety, nasze wciąż szczupłe siły dziennikarskie, nie pozwalają pracować inaczej. Z powodu gazety musiałem więc znacznie skorygować swe życie prywatne, ułożyć je niejako według „cyklu dwutygodniowego”, rezygnując z dłuższych wyjazdów i urlopów.

Dziś, patrząc z perspektywy, zastanawiam, czy podjąłbym się ponownie takiego zadania. Raczej nie. Zbyt dużo wysiłku i zdrowia trzeba było oddać, narażać siebie i swe rodziny na ryzyko, wyrzeczenie się również materialne, stawiając na pierwszym miejscu nadrzędność przedsięwzięcia. Myśli takie przychodzą, gdy i teraz brakuje zrozumienia, że pismo jest dobrem ogólnym, wspólnym. Nie mam natomiast ani cienia wątpliwości, że jako zwolennik „pracy od podstaw” działałbym w tym kierunku - może tylko byłyby to inne środki, inna forma.

„Znad Wilii”, to dla mnie kawał życia. Tu zetknąłem się z życiem jakby „skondensowanym”. Przyzwyczaiłem się do pogrzebów, „mądrych uwag” działaczy i polityków. Tak było na starcie, tak bywa i obecnie. Ale to jest sytuacja normalna dla tych, którzy uprawiają zawody oceniane przez szerokie kręgi społeczności.

Prawie dwa lata redakcja mieściła się u nas w domu. Zważywszy na sześć osób mieszkających w dwóch pokojach, liczne książki, można sobie wyobrazić, jak było ciasno. Ale i sympatycznie. Tamta atmosfera jest moim najcieplejszym wspomnieniem, pełnym nieskrępowanego podziwu dla ludzi, którzy dzielili ze mną ten los. Szczególnie po 13 stycznia 1991 roku, kiedy tworzyliśmy coś w rodzaju uszczuplonego „sztabu”. Niektórzy koledzy nocowali, żeby nie narażać się patrolom wojskowym. Nie wiedzieliśmy wtedy, co przyniesie następny dzień i czy nie zaczną się represje, którymi straszono nas aż do upadku puczu sierpniowego. Potem z woli boskiej nastąpiły zmiany, ugruntowała się niepodległość - i sądów niezależnych przybyło.

WYDANIE SETNE: WIELOGŁOS O SOBIE



Dwutygodnik przeszedł trudną drogę. Ale dał też mi satysfakcję, że na ostrym „zakręcie historii” mogłem mówić, co było zgodne z moim sumieniem. To wielkie szczęście. Dzięki piśmie poznałem wielu wspaniałych ludzi, jak też bliżej swych kolegów, którzy nie zawiedli, jakże często pracując na zasadach społecznych i nieodpłatnie, po nocach i w dni świąteczne. Pismo w tamtych ekstremalnych czasach, jak i teraz, w warunkach bardziej dzikiego niż wolnego rynku jest swego rodzaju testem na postawy ludzkie, w tym na koleżeńskość, wyrozumiałość wobec potrzeb innych.

...Jak i przed powstaniem „Znad Wilii” zasiadałem przy tej samej, własnej i wysłużonej maszynie do pisania. Jak i przedtem poruszał się tylko komunikacją miejską. Jak i przedtem banalne trudności w utrzymaniu rodziny zmuszają „dorabiać” jeszcze w paru miejscach. Dziś już instytucja redakcji (chodzi o wystrój), z przestronnym *office* służy bardziej dla życia towarzyskiego - gazeta tak naprawdę żyje w naszych domach i naszych sercach.

Czesław Okińczyc, współzałożyciel pisma:

Linię obraliśmy słuszną...

Pomysł gazety powstał w momencie, gdy trzeba było pokazać całemu światu, że jest na Litwie środowisko, które przyczynia się aktywnie do walki o niepodległość państwa, w którym zamieszkujemy i jednocześnie broni tożsamości narodowej w ramach społeczeństwa obywatelskiego. Od pierwszych numerów byliśmy atakowani przez część Polaków za to, że zwalczaliśmy zwolenników Lenina i niepodzielności partii komunistycznej państwa radzieckiego. Dziś z prawdziwą satysfakcją mogę stwierdzić, że linia obrana przez gazetę była jak najbardziej słuszną. Nie musimy się wstydzić swej pracy. Nie zrobiliśmy wstydu Polakom rozszanym po całym świecie. Polak, gdziekolwiek by się znajdował, zawsze walczył o niepodległość kraju zamieszkania.

Gazeta wydawana w trudnych warunkach była, jest i pozostaje gazetą niezależną. Wszelkie spekulacje na ten temat są wyłącznym brakiem kompetencji.

Dziś Litwa jest normalnym państwem borykającym się z pozostałościami systemu totalitarnego, dążącym ku gospodarce wolnorynkowej. To zmusza też do zmiany podejścia do pracy.

Obecnie, w normalnych warunkach, mało jest gazetę wydać. Proces wydawniczy kończy się sprzedażem gazety. Dziś dziennikarze powinni traktować swe artykuły jako towar, który zostanie zaproponowany czytelnikowi do kupienia. Sytuacja taka zmusza nas do zmiany koncepcji naszej gazety. Sądzę, że w najbliższej przyszłości nasi czytelnicy zauważą zmiany w tym



kierunku. Marzeniem naszym jest, by przekształcić ją w tygodnik, by ludzie pracujący w gazecie otrzymywali dobre wynagrodzenie. Dzięki temu, że gazetę, którą oni robią, dobrze się sprzedaje. Jest to zadanie ambitne. Mam nadzieję, że zespół sprosta wymaganiom czasu i pismo będzie się liczyło na rynku prasowym.

Danuta Piotrowiczowa (Werowska), z półwiecza żywota własnego 17 lat w dziennikarstwie. W „Znad Wilii” od początku:

Z zapisu dziennikowego

19 listopada 1989 r., niedziela.

... godz. 17.00. Wilno z mego piętra już ginie za wieczorną mgiełką ciepłego listopada po pięknym, słonecznym dniu. Jest idealna cisza. Kominy za Wilią wypuszczają dym prosto, prosto. Ściele się ścieżką do nieba, kłębek szarobiałych wyskakuje nagle i od razu w nic się wije.

Już zmiana aury. Wrócił mój jeden z koperników domowych. Orzekł, że Venus cała się nie pokazuje, że jakiś tam boczek kryje i jest dyskretna. Dwaj młodszy kopernicy spotkali tam któregoś ze swoich satelitów, no i lekcje poczekają... W ogóle organizacja obserwacji wzięła w tę na razie. Chwała Bogu, mają zajęcia - wertują tymczasem zapasy lektur astronomicznych, od Flammariona, poczynając poprzez popularne tomy tej tematyki (...)

Właśnie dopiero stwierdziłam, że umknęła mi pewna sprawa. Owa wizyta - znajomość 15 list. o 16.00 w Zespole Adwokackim na Garbarskiej. Zebrało się nas niejako „wtajemniczonych”, niewielu. Jola, Romek i p. Czesław. Pogadaliśmy dość długo, wyczerpująco. Byłam tam po raz pierwszy. Jakoż dopiero poznałam Cz. O. No, wrażenie średnie. Bez zachwyty i bez dezaprobaty. Człowiek młody, jak wydało mi się, raczej w typie litewskim, niż polskim. Komuś imponuje. Opinie ludzi różne. Ale w jakim zawodzie nie ma zawistników? Nie chcę dawać posłuchu nikomu. Mamy poniekąd razem pracować. Tytuł gazety mi się nie podoba, ale może być. Pomysł Romka. W moich propozycjach tytułowych tego nie wymieniłam, ale mi to przychodziło na myśl. Stało się więc na „Znad Wilii”. Właściwie czegoś tu brakuje. Znad Wilii, ale co? - chciałoby się zapytać. Do tego podtytuł goły - dwutygodnik. Bo nie będzie ściśle społeczno-kulturalny, bo będzie też *de facto* polityczny, taki czas. Czyli w sumie 4 karty średniego formatu gazetowego, dwie nasze wileńskie i także dwie z pomocą autorską z Polski. To na początek. Omówiliśmy pierwszy numer, który miałby wyjść pod Boże Narodzenie (...).



czasowo rwała pracować. Usiadłam przed komputerem, a p. Czesław krótko mi powiedział: „Patrz i ucz się”. Po kilku godzinach ogarnęła mnie panika, już żałowałam, że się zgodziłam. Ale jak się wycofać? Zawieść ludzi? Przecież im obiecałam. I tak stopniowo, dzień po dniu nabierałam wprawy. Pracowałam rano po 2-3 godziny, także trafiało nocami.

Dziennikarze z Polski „na starcie” też pomagali wydawać gazetę. Brało się kanapki, kawę i pracowało czasem przez całą noc, kiedy komputer był wolny. Wpisywałam teksty, na ekranie robiłam też korektę. Czasami nad ranem już zasypiałam przy komputerze, ale czułam ulgę, gdyż moja praca była zrobiona. Gorzej, gdy się zdarzało, że rozmagnetyzowała się dyskietka, czy wypadały teksty i pracę trzeba było zaczynać od nowa.

Te wszystkie przygody przypominam z uśmiechem. Dziś mamy swoje komputery, własną siedzibę, gdzie jest miło i przytulnie, jesteśmy niezależni. Zawsze mogę liczyć tu na pomoc.

W moim przypadku - nie ukończyłam przecież żadnych kursów komputerowych - mogę potwierdzić całkowicie przysłówie, że dla chcącego nic trudnego.

Zdzisław Tryk, prezes spółki „Znad Wilii”. W „Znad Wilii” od 1990 roku:

Najmocniejsze jest przekonanie...

Wracając do niezbyt jeszcze odległej przeszłości, muszę przyznać, że wspominam ten trudny początkowy okres z pewnym sentymentem. Okres był naprawdę trudny i napięty, szczególnie gdy nastąpił moment zajęcia przez wojska sowieckie drukarni. Zmuszeni byliśmy drukować pismo w Ukmergė, gdzie przyjęto nas dosyć sympatycznie. Kłopot polegał na braku papieru oraz na odległości. Pomimo tego byliśmy pierwszą i chyba jedyną gazetą, która dzięki przyjaciółom w Polsce, pokazała światu unikalne zdjęcia masakry styczniowej.

Nie mogę pominąć Zdzisława Gorbaczewskiego, z którym to dzielił się wtedy trud dostarczania wydrukowanej gazety do Wilna, kolportażu oraz przerzutu części nakładu do Polski.

Dzisiaj od strony politycznej czasy są o wiele spokojniejsze, ale od strony ekonomicznej jest naprawdę bardzo trudno. Tutaj jako osoba na dzień dzisiejszy ponosząca odpowiedzialność za stan finansowy, i nie tylko, jak wszystkich redaktorów, tak i pozostałych pracowników spółki, chcę wyrazić uznanie i szacunek dla pracowitości i uczciwości, w nie zawsze „fantastycznych” warunkach materialnych, w jakich wypada im pracować.

Myślę, że w każdym z nas, pomimo codziennych trudności, najmocniejsze jest przekonanie, że to, co się robi, jest komuś bardzo potrzebne i zostawi po sobie ślad.



Z wdzięcznością wspominam wszystkich Kolegów, którzy obecnie pracują gdzie indziej, zaś na jakimś etapie związani byli z dwutygodnikiem.

Redaktor naczelny

Fot. archiwum

ZNAD WILII
1993.10.10 - 10.23

5

Z ODSIECZĄ DLA LITERATURY „NICZYJEJ”

- Z szacunkiem i wdzięcznością mówią o Panu polscy poeci na Litwie. Skąd te kontakty oraz zainteresowanie Wileńszczyzną?

- Kilka lat wstecz byłem prezesem Oddziału Warszawskiego ZLP i do moich obowiązków należało organizowanie również takich imprez, jak Warszawska Jesień Poezji. Jeszcze mój poprzednik Krzysztof Gąsiorowski zapraszał niektórych poetów z Wileńszczyzny.

- Zapewne było też osobiste zamiłowanie do poezji?

- Raczej nie. Nie jestem poetą, był nawet czas, kiedy miałem poezję we wzgardzie. Uważałem ją za zajęcie dla marzycieli i maniaków.

- Skoro miał Pan poezję „we wzgardzie”, jak to się stało, że zechciał pomagać poetom na Litwie?

- Była to literatura w pewnym sensie opuszczona, „niczyja”. Nikt tego wtedy, zresztą jak i teraz, nie chciał wydawać, udzielać wsparcia finansowego. Znajdowałem więc prywatne osoby, które zupełnie bezinteresownie sponsorowały ukazanie się tych zbiorów.

- Poeci z Wilna z nadzieją zwracają się w kierunku Polski, bowiem na miejscu jest prawie niemożliwie cokolwiek wydać...

- Jako jeden z pierwszych wyszedł tom poezji Romualda Mieczkowskiego w nakładzie 3000 egz. Jak na poezję dużym, ale rozszedł się. Kilka lat temu znany edytor Tomasz Jodełka-Burzecki, wydawca dzieł Sienkiewicza i Reymonta, zajął się wileńską antologią poetycką, którą myślimy wydać staraniem Oddziału Warszawskiego ZLP. Dziś jest to druk unikatowy, nie ma go na rynku. Redagowaniem tych tomików zajmowała się Maria Jentys - poetka, krytyk literacki o wystraszonym smaku i słuchu.

- Dlaczego zaczął Pan wydawać tomiki poetyckie poczynając od Mieczkowskiego?

- Trudno nie dostrzec swego imiennika! Zaważyło więc w części „kumoterstwo literackie”. A poza tym czytałem „Znad Wilii”.

- Jakie znaczenie ma współczesna poezja wileńska? Czym powinna się zajmować?

- To, że na Wileńszczyźnie ukształtowało się liczące się środowisko poetyckie, samo w sobie jest ważne. O czym ci twórcy mają pisać? Nie mnie wyrokować! Sami lepiej znają swoją ziemię, sytuację swych rodaków na Litwie.

- Czy mogą być łącznikiem z Macierzą?

- Już są... Szkoda tylko, że my w Polsce niezbyt zdajemy sobie z tego sprawę.

- Jak często bywa Pan na Wileńszczyźnie, skoro na bieżąco się zajmuje redagowaniem Biblioteczki Wileńskiej?

- Ze wstydem muszę przyznać, że dotychczas nie byłem ani razu...

- Ma Pan jakiś uraz?

- Skądże! Zbyt wielu jeździło tam rzekomych przyjaciół. Obiecywali naszym rodakom złote góry, a wychodziły z tego nici. W tej sytuacji musiałem spieszyć z konkretną pomocą jako wydawca, choć to uboczne moje zajęcie, gdyż

- Jak wygląda strona finansowa Pańskich przedsięwzięć edytorskich?

- Najchętniej sam był łożny na wydawanie poezji wileńskiej. Niestety, nie jestem krezusem i z trudem wiązę koniec z końcem. Muszę więc szukać jakichś sponsorów. Od siebie zajmuję się społecznie stroną organizacyjną i wydawniczą serii Biblioteczki Wileńskiej. Skromne fundusze zyskałem od wojewody warszawskiego Bohdana Jastrzębskiego.

- Czy ktoś z milionerów polskiego pochodzenia na Zachodzie chciał sponsorować grupę wileńskich autorów?

- Trafiliem do Edwarda Piszka, biznesmena amerykańskiego polskiego pochodzenia. Wspierał swego czasu „Warszawską Jesień Poezji” i twórców, dawał nagrody i stypendia z ramienia Fundacji Kopernikańskiej, której jest założycielem. Laureatami tej nagrody byli również wileńscy autorzy. Skromne fundusze zyskałem od wojewody warszawskiego Bohdana Jastrzębskiego. Zabiegom znanego prawnika adwokata dra Władysława Pocięja zawdzięczam, że w okresie startu Oficyny Literatów i Dziennikarzy „Pod wiatr”, którą kieruję, zyskałem zastrzyk finansowy ze strony Jana Żaturskiego, biznesmena, działającego w Polsce i Austrii. Dzięki niemu mamy pomieszczenie dla swego wydawnictwa. Ale takich patronów jest niewielu.

- Co Pan ma teraz „na warsztacie”, jeśli chodzi o tematykę wileńską?

- Przygotowuję kolejną antologię poetycką. Z Ministerstwa Kultury i Sztuki RP otrzymałem bardzo dotację na papier i druk. Właśnie współ z Zbigniewem Jerzyną, znanym poetą, dokonujemy wyboru dostarczonych utworów. Brakuje debiutantów, którzy ujawnili się już u siebie. Ich teksty są potrzebne dla pełnego obrazu tamtejszego środowiska obecnie.

- Czy są dochody ze sprzedaży tomików?

- Ja nic z tego, oczywiście, nie mam. Jednak drobne zyski wpływają do kasy Oddziału Warszawskiego ZLP, aby znów wspomagać kolejne przedsięwzięcia. Autorzy otrzymują honoraria w postaci części swoich książeczek.

- Czy dzięki Pańskiej działalności ktoś poza Polską poznał wileńskich poetów?

- Ostatnio domaga się ode mnie ich tomików Biblioteka Królewska w Londynie. Trafili też do Stanów Zjednoczonych poprzez Fundację Kopernikańską.

- Poznał Pan piszących aktualnie autorów. Kogo by jeszcze warto wyróżnić?

- Debiutowała u nas skromnym tomikiem „Wilno, Ojczyzna moja” Alicja Rybałko. Zbigniew Jerzyna napisał piękny wstęp, a my grzebnym sposobem wydaliśmy tę książeczkę, czym umożliwiliśmy jej start i - mam nadzieję - drogę ku sławie. Jeśli zaś chodzi o moje osobiste sponzorowanie, to Alicja Rybałko już musi uprawiać prozę, wyrasta z poezji, jeżeli to tak można nazwać. Byłaby też świetnym tłumaczem. Godnym uznania jest Henryk Mażul. Jego poezja jest niezwykle zwarta, prawie aforystyczna. Wydaje się, że to jeden z najbardziej utalentowanych autorów, może być naszą nadzieją na

Wschodzie. Powinien też wypróbować sił w prozie, powieściach. Różniącą się mocno od nich jest twórczość Aleksandra Sokołowskiego. W ramach Biblioteczki Wileńskiej wydaliśmy teraz tomik jego poezji pod publicystycznym tytułem „Podanie o zwrot ziemi”. Są to teksty o wymowie społecznej.

- Co Pan może powiedzieć o przygotowaniach do tegorocznej Warszawskiej Jesieni Poezji?

- Nasze spotkania miały rangę międzynarodową. Tradycję tę staramy się utrzymywać. W tym roku impreza się odbędzie w dniach 28-30 października. Również zapraszamy liczną grupę poetów z Wileńszczyzny. Są oni naprawdę utalentowani, ich utwory mają wielką wartość poznawczą. Poezja ta odgrywa również rolę publicystyczną. Trzeba podziwiać ich hart ducha i ambicję.

- Czy można zauważyć różnice w twórczości pomiędzy poetami z Polski a poetami tworzącymi poza jej granicami?

- Dla mnie to fenomen. W morzu obcojęzycznym żyje i rozwija się ta polska

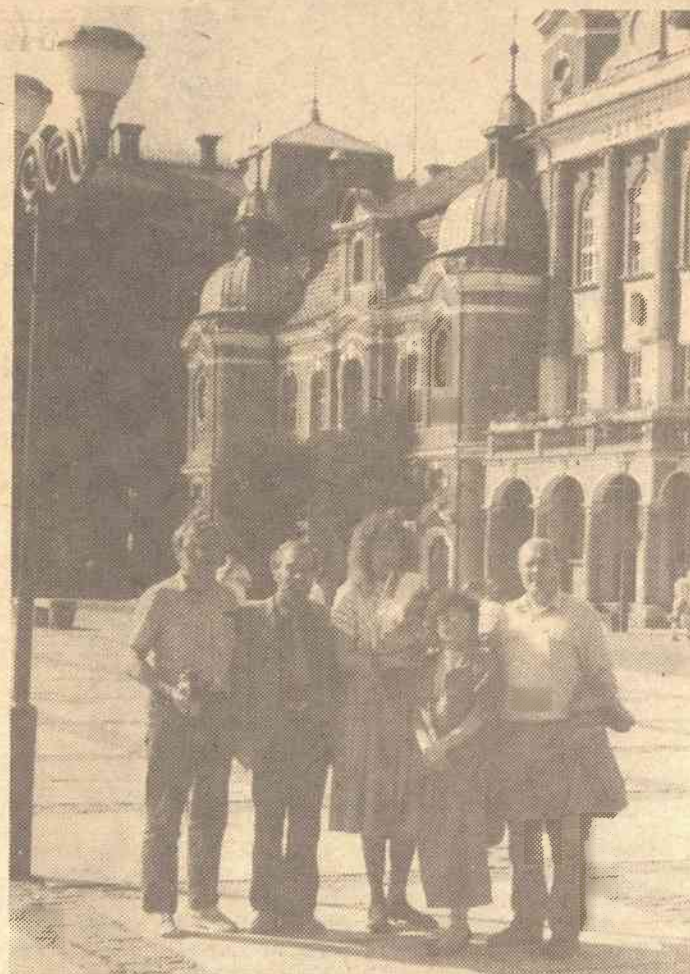
wyspa. Zadziwia silna liczebnie grupa wileńskich poetów. Mimo wszystko funkcjonują, działają w niesłychanie trudnych warunkach. Tworzą enklawę, za wszelką cenę chcą utrzymać się przy swoim. Pozostali u nich jeszcze niektóre archaizmy językowe, jak też zupełnie nigdzie więcej nie spotykane wynalazki wileńskiej polszczyzny.

- Co o nich mówią krytycy?

- Sporo zrobił Stefan Melkowski. Bywał niejednokrotnie na spotkaniach Warszawskiej Jesieni Poezji, promował niektórych autorów, pochylał się z uwagą nad ich twórczością.

- Co wróży przyszłość?

Z Romualdem Karasiem, reporterem i wydawcą rozmawia
Teresa Ratkiewicz-Suchocka



Poeci wileńscy w czasie „wyprawy literackiej” do Piszczyny. Od lewej: Henryk Mażul, Wojciech Piotrowicz, Alicja Rybałko i Józef Szostakowski w towarzystwie przewodniczki po mieście.

Pol. Romuald Mieczkowski

Teraz na to brakuje pieniędzy i co gorsze, zainteresowania czytelniczego. Tomiki ukazują się w bardzo małych nakładach - 200-300 egzemplarzy, przy czym często wybitnych poetów. Podjęłam, że nie jest to okres przejściowy, podobnie się dzieje w świecie. Poezję wręcz wypiera kultura masowa, telewizja, która, niestety, odbiera myślenie.

- Może potrzebne duchowe są inne?

- A czy w ogóle one są? Jak na razie, samotni, prawie romantyczni bohaterowie-poeci, walczą o życie swej poezji. A czy skutecznie, to się okaże.

- Dziękuję za rozmowę.

Refleksje wilnianki o mieście

Na nowym oddechu

Z pewnością to nic nowego, ani nadzwyczajnego. Taki banał postrzeganego zjawiska przemian. Dziś szczególnie notowanych. Wilno, z jego znaną legendą o żelaznym wilku przepowiadającą grodu sławę, czym jest?

Mamy je na co dzień, patrzymy nań w bezpośrednim zbliżeniu i może przeto często niewiele widzimy. Miasto budowane wiekami z miłością, rozwijane i upiększane przez królów, książąt, magnatów i zwykłych śmiertelników. Miasto, które otrzymaliśmy w spadku od naszych poprzedników - antenatów, miasto, które mimo wszelkich żywiołów, jakie mu przeznaczało, ostało w jego historycznej krasie. Miasto unikat z jego starówką, z jego zielenią, żywy skansen - z wielokulturowością narodową. Miasto urokliwe w swym rozlokowaniu w dolinie otoczonej niezwykle leśnymi wzgórzami u zbiegu Wilii i Wilenki. Obiekt ludzkich uniesień, utęsknień, bólu i wielkiej miłości. Kolebka romantycznej chwały literackiej, wieszczów i noblistów. Nasze codzienne miasto w pośpiechu i w swej ciszy jesiennej w obliczu płynności czasu. *Panta rhei*, Wilia i Wilenka... dziś nie te ich szumy, co wczoraj, jutro nie te, co dziś...

Wilno zawsze to samo i już inne. Miasto w skoku ku czemuś nowemu, na nowym oddechu zmienia swe szaty, pozbywając się ostatecznie obcej zaśniedziałości oblepiającej je przez półwiecze. Przyto-

dziewa się w nowy płaszcz, jaki będzie? Czy nowy system polityczny i ekonomiczny pozwoli na pełnię funkcjonowania kultury i jej wpływu na rozwój miasta, czy nie załame się przemysł tak, że tysiące bezrobotnych wyjdą na ulice. Co dalej - pytają tysiące wilnian bez otrzymania na razie rychłej odpowiedzi.

A tym niemniej jakaś otucha wypełnia serce, kiedy oko coraz częściej wyłapuje ciągi domów w świeżej barwnej oprawie, kiedy woniejące od lat stęchliną podwórka pod dotknięciem pędzla, skalpela fachowca odżywiają, nabierają nowoczesnego blasku. Takich metamorfoz pełno, nie sposób tu je wymienić. Przyciągają poszczególne zakątki, zabytki, posesje, gmachy nie tylko wycieczki, ale też samotnych tropicieli, rozmawiających z nimi w sobie tylko znanym języku porozumiewania się. W efekcie miewamy potem artystów, poetów wielbiących gród, których i dziś nie brakuje w różnorodnej gamie głosów. Czy to już sen o tym sławnym mieście. Giedymina się spełni? Spełnia? Czy wciąż jeszcze się spełni?

Oto opuszczone ulice, domy czekają na swoją kolejność uzdrowienia ich okaleczonych murów, wyposażenia wnętrz, przywrócenia do pełnienia określonych funkcji. Och, dużo tego jeszcze. Ileż jeszcze budowle wileńskie wymagają pomocy adaptacji, wysiłku rekonstrukcji.

Czekajmy na ten renesans. Czas pracuje na nas, a może będziemy mieli swoje szczęście w Wilnie.

Danuta Piotrowiczowa

Filozofia "Fuji Film" - jakość

Wileńskie ulice upiększają coraz to nowe, reklamowe szyldy i proporce znanych firm światowych. Zielono-białe sztandary z czerwonym napisem „Fuji Film” zwycięsko powiewają też na Litwie - japoński smok przemysłu fotograficznego doleciał i do nas. Doskonała jakość taśmy oraz papieru fotograficznego z miejsca zdobyły serca i potrafiły wielu wilnian, którzy mogą korzystać już z czterech ekspresowych laboratoriów. Zapłacenie 90 ct. za np. niewielką kolorową „fotkę” może komuś się wydać marnotrawieniem pieniędzy, ale porównanie jej jakości z analogicznymi zrobionymi w państwowym fotolaboratorium, wypada wyrazić na korzyść produktu *made in Japan*. W końcu przeciętny obywatel nie robi kolorowych zdjęć codziennie, więc tym bardziej chciałby należycie utrwalić swoje uroczyste chwile.

Przyzwyczajeni do niejakej jakości rodzimych produktów, zawiedzeni szarym i smutnym nierzeczywistym, prawie z niedowierzaniem wpatrujemy się w superkolory zdjęć zrobionych na japońskim sprzęcie.

Produkty, założonej już w 1934 r. firmy „Fuji Photo Film” masowo zaistniały na Litwie przed rokiem, ściśle 8 października 1992 r., kiedy to utworzono austriacko-litewską spółkę *joint venture* - „Baltexfilm” i która to się stała oficjalnym dystrybutorem japońskiej firmy na litewskim rynku fotograficznym.

Właśnie na małym jubileuszu - rocznicy istnienia tej firmy doszło do spotkania trzech stron: członka rady „Fuji Photo Film” (Tokio), dyrektora generalnego Harushi Yagi, dyrektora generalnego austriackiej firmy „Atraco Holding” Rolf’a Dolina oraz dyrektora generalnego litewskiego „Baltexfilmu” - Edmundasa Tradišauskasa. Zaproszonych z tej okazji dziennikarzy oraz gości raczono szampanem, opowiadając o międzyzyciu o spółce i jej dorobku.

Po kilku miesiącach na Litwie już były trzy takiego typu laboratoria - dwa w Kownie i jedno w Wilnie. Obecnie jest odpowiednio - 3 i 4. Doszły po jednej w Kłajpedzie. Ponieważ i Szawlach. Planuje się też otworzyć jeszcze czterech laboratoriów w Możejkach, Ignalinie, Mariampolu i Olicie. W Rydze działa filia - „Bal-

texfilm Latvija”, w Mińsku zaś już zarejestrowano „Belofilm”.

Jednak sferą działalności „Baltexfilmu”, jego 30-osobowego zespołu, jest nie tylko produkcja wysokiej jakości odbitek, ale też zaspokojenie potrzeb fotografów amatorów i zawodowców, którym oferowana jest szeroka gama aparatów fotograficznych, taśm, papieru i innych akcesoriów niezbędnych do zatrzymania chwili. Powstająca sieć laboratoriów i sklepów przybliża barwny świat „Fuji Film” dla każdego, chcącego sprawdzić jego renomę.

W sprzedaży poza tym są cieszące się zaśluzonym uznaniem audio- i wideokasety.

W rozmowie z p. Harushi’em Yagi’em dowiedziałem się, że chociaż zysk z handlu na litewskim rynku nie jest jeszcze zbyt wielki, ale obecny czas, to czas promocji, wejścia i ugruntowania pozycji.

Podoba mi się Litwa, która jest prawdziwie europejskim krajem, podobnie jak i ludzie. Wasz rynek jest duży, obiecująco duży, dlatego chcemy tu się mocniej zakotwiczyć. Mimo niełatwych ekonomicznych realiów popyt na taśmy i zdjęcia będzie wzrastał. Posłużę się tu moją przykładem powojennej Japonii, kiedy nastąpił fotograficzny *boom* mimo ciężkich czasów. Mamy więc nadzieję, że i na Litwie będziemy coraz popularniejsi. - W Japonii „Fuji Photo Film” jest na trzecim miejscu pod względem zysków, w Europie - pierwszym. Niedawno dwa duże stowarzyszenia fotograficzne uznały nasze taśmy za najlepsze w Europie - powiedział dyrektor.

Nie musi to nas dziwić, ponieważ filozoficznym *credo* tej firmy jest - jakość. Czy nie boją się konkurentów? W Europie największym ich rywalem jest „Kodak”, jednak współzawodnictwo jest motorem postępu.

Nowością „Fuji Filmu” są taśmy z serii *super generation*: „Super G-100; 200; 300”, które można kupić i w naszych sklepach, zaś dla fotografików przygotowano prezent w postaci „Super G-800”.

Wypada więc tylko życzyć nam barwnego życia, jak na zdjęciach „Fuji Film”.

Aleksander Borowik

SZYBKO, WYGODNIE I ELEGANCKO!

WARSZAWA - WILNO - WARSZAWA

ZAPRASZAMY



Dziewczynom grozi staropanieństwo?..

- żartuje pani Ona Żukauskienė, pracowniczka Urzędu Stanu Cywilnego w Wilnie, zatrudniona tu od 36 lat. A i cyfry mówią same za siebie. W ubiegłym roku zawartych zostało 4596 związków małżeńskich, w tym zaś do września tylko 2482. Przyczyny tego stanu rzeczy są różne, często ekonomiczne, o czym napiszę dalej, ale sprzyja temu i ... wycofanie wojsk rosyjskich stacjonujących w Wilnie i w ogóle na Litwie. W lipcu i sierpniu ubiegłego roku notowano po 75 - 80 ślubnych uroczystości w ciągu dnia. Młodzi absolwenci dwóch wyższych szkół wojskowych b. ZSRR chętnie zawierali związki małżeńskie z wilniankami, niekoniecznie zabierając potem młode żony do swoich domów rodzinnych daleko za Ural.

Kierowniczka natomiast USC w rejonie wileńskim Edwarda Česienė jest szczerze z troską:

- Naprawdę, nie wiemy co robić. Związków małżeńskich zawiera się mało, jak nigdy dotąd. Sądzę, że w pierwszym rzędzie zależy to od pogarszającej się sytuacji materialnej. Młodzi nie są w stanie „wyprawić” sobie wesela, kupić sukni czy nawet wianki. Częstokroć rodzice urządzali swoim dzieciom przyjęcia. A dzisiaj... Trudno o oszczędności, poszły one już dawno na chleb dla całej rodziny.

Młodzi, niestety, nie wszyscy chcą rezygnować z przyjęć weselnych. Ci, co zdecydowali się na skromny poczęstunek bez dania gorącego, lub na skromny strój bez białej sukni, rejestrują swoje związki we czwartki. Za jedyne 19,5 lita (ok. 5 USD) opłaty skarbowej i kosztów manipulacyjnych.

Rozmawiałam z bardziej „bogатыmi” w piątek i sobotę. Wszyscy - piękni i szczęśliwi. Oksana:

- Kochamy się i chcemy być razem. Nie wystarczy nam tylko stempel w dowodzie, chcieliśmy oboje mieć piękne przyjęcie weselne (w zależności od liczby zaproszonych gości od 1800 litów do 15 tys.). Nie wyobrażam własnego ślubu bez długiej białej sukni, welonu (razem od 100 do 700 litów, kogo na co stać) i romantycznej wianki (średnio 50 litów)... O przyjęciu i zaproszonych gościach zdecydowali rodzice. W ogóle wszystkie koszty z tym związane wzięli oni na swoje barki. Inaczej nie dalibymy sobie rady.

Janina (studentka):

- Dla chcącego, nie ma nic trudnego. Sukni nie zostawię „na pamiątkę”, nie schowam do kufra, jak to czyniły nasze babcie, ale szybko sprzedam, a pieniądze zainwestuję w przyszłe życie. Najwyżej zasuszę bukiet ślubny.

Dziewiętnastoletnia Andželika i Aleksander mają pewną swobodę w działaniu, ponieważ oboje pracują. Ale ich oszczędności nie wystarczyły. Poprosili więc o pomoc rodziców. Suknię ślubną Andželika zostawi dla swojej młodszej siostry („może w ten sposób ulżyć w przyszłości trochę rodzicom”). Do USC przyjechali mercedesem, wypożyczonym (z samochodami jest różnie. Można wynająć wolę - 15 litów za godzinę, zachodni model zaś kosztuje już 30 - 40 litów).

Andrius jest pracownikiem tzw. budżetowym, a więc dochody skromne i dlatego wydatki związane z zawarciem związku wyniosły mu „nieładzko dużo”. Co innego by było, gdyby pracował w firmie prywatnej albo należał do spółki.

- Ale, wie pani, - mówi - chociaż pieniądze dla każdego dużo znaczą, w tym wypadku jakby o nie mniej chodzi... Będę razem z moją wybranką. To ważne. Cieszymy się zaś jeszcze i z tego powodu, że mamy gdzie mieszkać, ponieważ posiadam już jednopokojowe mieszkanie spółdzielcze.

Naręczona Andriusa, Laura, chciałaby, jako przedstawicielka sztuki, zmieniając stan cywilny obok nazwiska męża zachować swe panieńskie.

- Najpierw o moim podwójnym nazwisku miał zadecydować... prezydent. - opowiada - Następnie się okazało, że należy pójść do Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie otrzymaliśmy nie bardzo konkretną odpowiedź: „Czekajcie, może kiedyś...”

Z prawdziwą przyjemnością rozmawiałam z młodą parą Malinowskich. Tuż po zarejestrowaniu ich związku.

- A jakże, wesele będzie czysto wileńskie, ze wszystkimi tradycjami. - zgodnie odpowiedzieli - Bawić się zamierzamy przez trzy dni, a po tygodniu zaprosimy wszystkich na powesełki. Świniaka na ten cel zakuliśmy, wódeczki też mamy. Staraliśmy się o rękę mojej żony bardzo. Poznaliśmy się chyba, jak i większość na tańcach w naszej wsi. Żona jest nauczycielką w rudamińskiej szkole, ja - kierowcą. O tej uroczystości będą nam przypominały zdjęcia (czarno-białe - 2 lity za jedno, kolorowe - 6), taśma video (120 litów za sfilmowanie jednego dnia przyjęcia weselnego) i ... obrączki (od 70 do 300 litów za jedną).

Najwięcej wszyscy mówili o przyjęciu, o kosztach, samochodach, mniej zaś o przyszłym potomstwie. Zgodnym chórem odpowiadali, że może w przyszłości, ale nie więcej niż jedno. Będzie gorzej, jeśli Bóg da więcej...

Statystyki i w tej dziedzinie odnotowują tendencję spadkową. W tym roku do września w Wilnie przyszło na świat 3819 noworodków, zmarło 3658 osób. W rejonie wileńskim - urodziło się 792 noworodków, zmarło 861 osób.

- Za lata mojej pracy widziałam różne rzeczy, obecnie już się tak nie wzruszam. Przed sobą widzę tylko cyfry i zmieniające się nazwiska. Proszę się nie dziwić, że mamy przerwę na obiad. Musimy coś zjeść. A te pary, które nie zdążyły przyjechać na wyznaczony czas, muszą tę godzinę zaczekać na nas, urzędników. Dla nas jest to zwykła praca, a niestety, nie uroczystość. Kiedyś pytaliśmy świadków, czy dobrze poznali młodych, ale z naszej naiwności tylko żartowano. Nie reagujemy już na niepełnoletnich małżonków z zaświadczeniami od lekarzy o zaawansowanych ciążach - mówi p. Ona Żukauskienė.

Podczas ceremonii w USC rzadziej też się pije szampana. Dla jednych jest za drogo, inni śpieszą na ślub kościelny. Urząd Stanu Cywilnego obecnie jest jakby już etapem przejściowym, najważniejszy kościół. Bez stempla w dowodzie osobistym jednak i ksiądz nie udzieli ślubu.

Tego dnia nie obyło się bez kłopotów w USC.

Przed najważniejszym momentem - włożenia obrączek - młodym daje się chwilę do namysłu. Wówczas panny młode idą do jednego pokoju, panowie zaś do innego. Każdorazowo urzędniczka powtarza swoją prośbę, aby w tych małych pokojkach nie palono papierosów. Następnie zaprasza pary do dużej pięknej sali, w której podczas ceremonii grają organy.

Tym razem na tę uroczystość czekało już 7 par, a urzędniczka z uśmiechem na twarzy, ale i z pewnym napięciem przypominała raz jeszcze: „Proszę się jeszcze namyślić... Mnie zaś tymczasem wyznała, że zepsuły się organy i w pocie czoła teraz są naprawiane. Trwało to niedługo, dla młodych - „wieczność...”

Przy USC Wilna od 1979 roku znajduje się poradnia psychologiczna. Gediminas Navaitis pracuje tu od jej powstania. Pytam, dlaczego z 2482 nowo powstałych związków małżeńskich w tym roku, zdążyło się rozwieść aż 1453 pary. „Niezgoda charakterów” - to najczęściej podawana przyczyna. Druga -

warunki ekonomiczne. Tak naprawdę, to młodzi są w ogóle nie przygotowani do małżeństwa. Byłe przypalone zupa, czy „plapanie” przez telefon może doprowadzić do decyzji rozwodu. Młodzi zbyt pochopnie zawierają małżeństwa, jeszcze szybciej z nich rezygnują. Bardzo rzadko po rozmowach w poradni udaje się uratować młode małżeństwo.

W rejonie wileńskim również z 337 w br. zawartych małżeństw rozpadło się 226 par. Przyczyną są też różnice wieku, wykształcenia oraz socjalne.

Wanda Marcinkiewicz

Dane od 1.01. 93 do 31.08.93

	Wilno	rejon wileński
zawarto małżeństw	2482	337
rozwiódło się	1453	226
urodziło się	3819	792
zmarło	3658	861



Stempel w dowodzie, to za mało, żeby poczuć się mężem i żoną...

Fot. Bronisława Kondratowicz

Podpisano do druku 22 października 1993 r.



Coś z magii

Konkrety życia zapętlają przestrzeń, w której się poruszamy, czas, który nam odmierzono, zapętlają tak, że ciągle się z nimi zderzamy, odczuwamy nieraz bolesnie kształty i wystające ostre ich kany. Jest tego tyle, że aż gęsto, aż się zaciska krąg, pierścień nieraz niejako bez wyjścia.

Ratuje wtedy ucieczka od konkretnego w świat imaginacji lub pewnej magii, która fantazyjną mgiełką potrafi wszystko ostonić, nadać kształt wszystkiemu bardziej miękką, okraścić twardy byt. Można się wtedy czegoś spodziewać nieoczekiwanego, ale bardziej miłego, bo się wytwarza wiara w jakąś prowadzącą nić, a nie tylko ciężący nad nami chaotyczny ciąg wydarzeń.

Wśród innych magii wiesi uznawała magię cyfr. Małopiśmienna - liczyła na palcach. Nie wybiegała w świat wielkich liczb. Zaczynała od jedynki, bo jedność to - JA. Zaczynała od dwójki, bo to - PARA - podstawa wszystkiego. Spiewała o trójce. Jaś Kasie w piosence całuje po każdej stronie rączy trzy i po tylu kijów otrzymuje od surowego ojca Kasi. A ile tych stron? Cztery widocznie. Tyle, ile stron świata.

Włocianin pamiętał o siódmce. Może poprzez ilość dni w tygodniu, może poprzez siedmiu braci śpiących, mających być deszczowymi dniami lipca, ale w tym roku to się nie sprawdziło. Bracia spali i to bardzo mokro i chłodno prawie przez całe lato.

Nie sprawdziło się też tegoroczne babie lato z trzema dniami przed i trzema po Michale. Ale tym niemniej wypadało spodziewać się tych łżejszych, tagodniejszych dni.

Wiesi lubiła i lubi konkret, choć nie wszystko potrafiła przeistoczyć w rzecz wymierzoną, odważoną. Po nieszczęściu zamawiacze odczyniali znanymi tylko sobie formułkami skauk, na przykład, choroby: nad zbolatym miejscem, na chleb, na mąkę, na cukier, na część ubrania. Ale i zamawiali - na wiatr. I może ten sposób bardziej przemawiał do wyobraźni, gdyż sporo opowiadań zachowało się o cudownym wyzdrowieniu człowieka albo żywiołki już po chwili zamówienia. Można zrozumieć. Bo wiatr najszerzej wszystko obejmuje. Już nie z czterech tylko stron, lecz ze wszystkich. A ile ich jest? Skoro dużo, to chyba sto? Sto bied, sto koni, stu diabłów, sto lat.

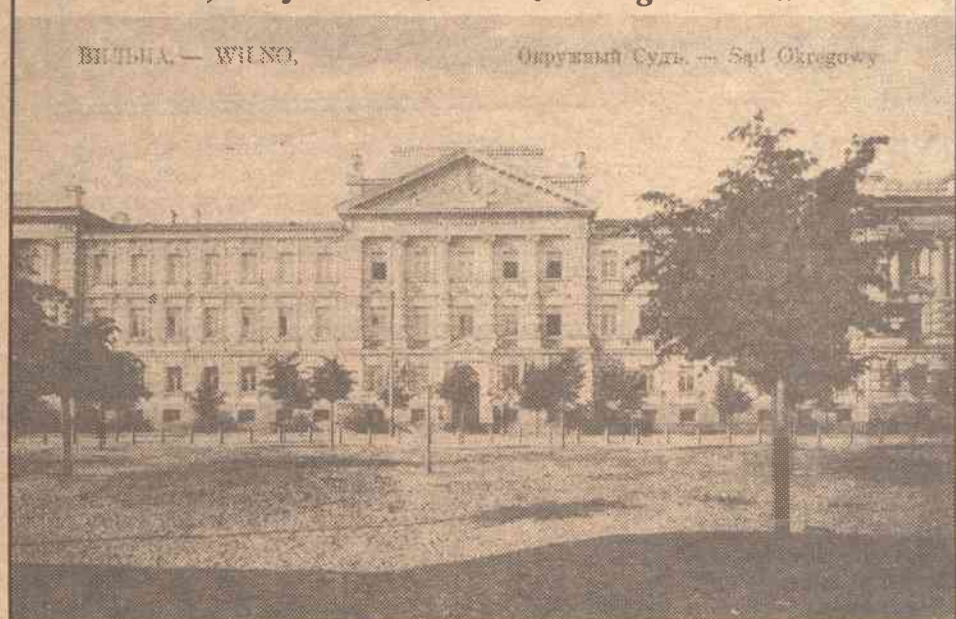
Za sto lat nie będzie nas... Z pewnością, bo i po co z całym naszym nieprzystosowaniem już do dzisiejszego dnia. Z całą ślepotą dzisiejszych społeczności już chociażby pod jednym tylko względem: ekologicznym. Za sto lat będzie zupełnie coś innego, czego ani nauka dzisiejsza ściśle nie ustali, ani mistrze magii nie odgadną. Tych sto - to taka wielka przeciętna liczba, nawet jeżeli nie dotyczy lat.

Pismo, do którego trafiają te drobne okruciny, zauważyłem - odlicza już 100 numerów. Dużo, jak na nasze zmienne czasy. Ktoś wniawił, że to wysiłek i słowa rzucane na wiatr. Ale może jak z tym zamawianiem magicznym? Wiatr obejmuje, oblatuje wszystko z różnych stron i może przez to mocno oddziałuje. Fokus-ma-rokus.

Sto koni, stu diabłów, sto numerów, sto lat!..

Wojciech Radłowski

To, co było... Pocztówka ze starego albumu



Budynek ten od samego początku był związany z sądownictwem. W czasie okupacji było gestapo, tu przesłuchiowano ofiary, w okresie powojennym mieścił się KGB. Na zdjęciu z początku stulecia widoczny Plac Łukiski - pokryty wtedy brukiem...

Od nowa

STOKROTNA ODNOWA

To już setny raz kłaniam się Czytelnikom, którzy szczęśliwie dobrnęli do tej strony. Szczególnie nisko tym, którzy lekturę dwutygodnika zaczynają od Bończy (p. Bogusi J. dziękuję za takie zapewnienie). Przysięgam, że unikam pompatycznych bilansów. Życie staram się podsumowywać na bieżąco. Jako jeden z Państwa, współrodaków, którzy chodzą realnie po ziemi, borykają się z wieloma problemami codzienności. Natury ogólnej, jakie się spotyka na całym świecie. Jak też i specyficzności, wynikającymi z realiów naszego zamieszkania. Jako etatowy opozycjonista wreszcie. Bez względu na rządy i ich gabinety, opcje i układy.

To ja, proszę Państwa, jeden z Was, dostaję regularnie w kość od samego początku, ale i swojego nie popuszczę. Naród, to nie przydrożny groch, który każdy może skubać. Daleki jestem od narzekania, zaś parafrazując jednego z największych klasyków polskich zaznaczam, że niekoniecznie muszą rozdziobać nas kruki, wrony. Żeby do tego nie doszło - sami musimy o to zadbać. Życie mniejszości narodowych wszędzie nakłada niedogodności. Prawda, w różnych krajach o bardzo różnej skali. Ale trzeba działać. Energiczniej, mądrzej, a więc skuteczniej. Walczyć o swoje. Nie jako ząb za ząb, ile z pozycji argumentów, przedstawianych w sposób kulturalny aczkolwiek konsekwentny. Z kalkulowaniem w swą odporność, że czeka nas jeszcze niejedna próba.

A że tak będzie, wcale nie trzeba być ani ekspertem, ani prorokiem. Wystarczy spojrzeć, co się dzieje. Wszystko do góry nogami. Ci, którzy bronili pomników Lenina (ileż to ober-

wałem w swoim czasie, gdy z karykaturzystą Władkiem Mickiewiczem, staraliśmy się na łamach „ZW” usunąć wodza rewolucji z piedestału w Wilnie, gdy ten jeszcze zamierzał stać długo!), uchodzą za ojców demokracji. Ci, którzy unikali kościoła, jak diabeł święconej wody, w pierwszych szeregach witali Ojca Świętego. Choć ten ostatni wypadek jest budujący, bo z każdego nawrócenia należy się jedynie cieszyć. Można by do tego dorzucić, ale już w szerszej przenośni przypuszczenie, że najlepszymi bankowcami są specjaliści od kantów. Ale gdybyśmy szukali tylko takich analogii - obraz byłby wielce wypaczony. Solą przemian o skali historycznej, odrodzenia niepodległości był i jest naród, nie zaś prawica czy lewica, walcząca o swe profity, jakie daje posiadanie władzy. Naród - nadal eksploatowany - z tą różnicą, że nie przez aparatczyków z przewodniej roli. Odzierają go obecnie dżentelmeni w białych rękawiczkach i jedwabnych krawatach.

Obrzywałem również dlatego, że o pewnych sprawach, może wstydliwych dla nas i stanowiących wtedy tabu, właśnie w tej rubryczce mówiłem jako pierwszy. Chociażby o tzw. Polskiej Partii Praw Człowieka i jej obłędnym programie stworzenia Polskiej Wschodniej Republiki Sowieckiej. Utworzenie z terenów byłych Kresów RP, zaś dziś ziem należących do Litwy, Białorusi i Ukrainy, takiego tworu było jawną prowokacją. Nie budzi to żadnych wątpliwości, szczególnie kiedy spojrzysz na sytuację w b. Jugosławii. Pamiętam, jak dzwonił wtedy niektórzy ówczesni działacze, i po cichu, pojedynczo składali gratulacje dla Bończy. Głośno o tym, jak i o innych sprawach, mało kto śmiał mówić. Potem niepodległość zrodziła wszystkich. Niektórzy na niej zrobili kokosowe interesy (również dosłownie, bo zaczęto sprowadzać na-

Świat bioenergetyki ARTUR SMUĆKO I JEGO METODA NA KRÓTKOWZROCZNOŚĆ



Fot. archiwum

- Cztery lata temu zamieściliśmy w „Znad Wilii” Pański artykuł na temat bioterapii. Problemy, które były wówczas poruszone, pozostają aktualne. Nie znalazł Pan zrozumienia dla swojej metody leczenia wad wzroku na Litwie i rozpoczął pracę w Polsce?

- W Wilnie utworzyłem spółkę, która nazywała się „Bioregulacja” i zaczęła stosować metody niekonwencjonalne, z wykorzystaniem parapsychologii i psychotroniki. Do spółki oprócz mnie, biologa z wykształcenia, należało kilku lekarzy. Chcieliśmy rozwijać swe zainteresowania, pracować teoretycznie i praktycznie. Na początku pracowałem prywatnie. Udało mi się przeprowadzić turnus terapeutyczny w zakładach „Azotas” w Janowie. Leczyłem tam krótkowzroczność u młodzieży. Wydawało się, że lody ruszyły i praca owocnie się rozwine. Okazało się jednak, że na Litwie pracować jest ciężko. Ze wszystkich stron powstały przeszkody. Od bioenergetyków w dodatku potrzebuje się u nas dyplomu lekarza. W tym czasie, w 1989 roku otrzymałem pierwszą propozycję na przeprowadzenie turnusu leczniczego w Polsce. Jego organizatorem był Zarząd Główny Związku Niewidomych. Turnus dla mnie miał znaczenie przełomowe: wyniki przesądziły o kolejnych zaproszeniach. Ostatnio moja „baza” znajduje się w Bydgoszczy, gdzie współpracuję z firmą prywatną, leczę krótkowzroczność przy zastosowaniu własnej metody bioenergoakcji. Po prostu mówiąc, zmniejszam ilość dioptrii u krótkowidzów, zatrzymuję spadek wzroku. Metoda jest bardzo skuteczna i pozyskała tu aprobatę, również w kręgach medyków.

- Na Litwie w międzyczasie nastąpiło wiele zmian. Czy nie można teraz tu pracować?

- Jeszcze nie, ponieważ bioenergetyk, bioterapeuta albo naturopata nie ma oficjalnie uznanego statusu, jak to jest, na przykład, w Anglii i w szeregu innych krajów, w których istnieje możliwość legalnej działalności.

- Jest rzeczą zrozumiałą, że bioenergetycy niekoniecznie bywają lekarzami. Część z nich przypadkowo dowiaduje się, że posiada tak rzadkie zdolności. Na świecie działają przecież różne stowarzyszenia m.in. radiestów, ludzi, którzy stosują niekonwencjonalne metody leczenia. Ostatnio w Wilnie utworzony został Litewski Związek Parapsychologów...

- Byłem na jego zebraniu założycielskim pod koniec września. Uważam, że to potrzebna inicjatywa, która pozwoli osobom, posiadającym takie zdolności, jakoś funkcjonować, działać na korzyść społeczeństwa.

- Gdyby na Litwie doszło do jakiejś próby, gdyby, powiedzmy, grupa entuzjastów zorganizowała turnus leczniczy, w czasie którego zademonstrowano by nową metodę, być może doszłoby do współpracy bioenergetyków z lekarzami.

- Byłoby to dobre doświadczenie dla jednych i drugich. I na pewno dla pacjentów. Wówczas można by było rozmawiać na podstawie konkretnych wyników, czego doświadczyłem w Polsce. Jestem gotów udowodnić medykom litewskim, że krótkowzroczność leczy się można lub zmniejszyć ilość dioptrii bez operacji chirurgicznej, a nawet bez leków.

reszcie smakowały z takim nadzieniem), w naszych szeregach powstał nowy zawód: *polak*. Ale bołaczki te wsiąkły w ogólny kryzys, przycmiły je skandale o szerszym, państwowym zakresie. Najbardziej cwani wymknęli się spod jakiegokolwiek kontroli społeczeństwa, wznosząc swój dobrobyt - jeśli dobrze się przyjrzeć - po prostu kosztem podatnika, a więc nas. Naród ze stoickim spokojem pograża się natomiast w odmęcie kryzysu.

- Gdyby w Polsce - mówił znajomy ekonomista - męczono tak ludzi poprzez zakręcanie kranów z ciepłą wodą i nieogrzewanie mieszkań, każdy rząd byłby dawno zmieciony.

Obserwując znowu wydatki z budżetu państwa, można powiedzieć, że to nieprawda, że nie ma możliwości pozytywnego załatwienia chociażby tej sprawy. Wystarczy spojrzeć na marnotrawstwo, rozbudowanie resortów, bez których taki kraj jak Litwa doskonale mógłby się obejść, no i na korupcję. Od kilku dni, kiedy z niepokojem obserwowaliśmy rozwój wydarzeń w Moskwie, ciepło zawiatoło do naszych domów. Miejsmy nadzieję, że w końcu wyciągnięto wnioski. Naród będzie bronił ciepłych kaloryferów i takiejże wody!

Jako felietonista, niezwiązany z jakimiś siłami politycznymi, miałem niebezpieczny luksus nazywania rzeczy po imieniu. Nikt mi nie mógł powiedzieć: *nie podskakuj, bo za państwowe pieniądze nie pojedziesz na kongres ornitologów do Australii*. Reszta propozycji - to były strachy na Lachy, ale na wszelki wypadek - żeby w przyszłości nie było gorzej - odpukać w niemożliwe. Tym bardziej, że ciągle są próby wciągania prasy i dziennikarzy do rozrób politycznych. Nie można opędzić się sugestii i od porad tych, którym się powiodło i którzy całkowicie... spłajtowali.

Muszę przerwać tę refleksję, ażeby zrobić ukłon w stronę Czytelników, dalekich od żądzy władzy, opętania być kapitalistą natychmiast. To od Was otrzymałem najwięcej poparcia w chwilach trudnych. W czasie, gdy niektórzy

- Pańska działalność w Polsce przebiegała właśnie przy takiej współpracy z lekarzami?

- Tak. Lekarz sprawdza stan pacjentów przed turnusem i po nim, a wyniki zatwierdza swoim podpisem i pieczęcią.

- Ile osób podało się Pańskiej kuracji i jakiemu procentowi udało się pomóc?

- Na terenie Polski już ponad tysiąc osób przeszło przez taką dwutygodniową kurację. Może to nie jest dużo, trzeba jednakże wiedzieć, że praca jest prowadzona indywidualnie. Mam same podziękowania, również w prasie, również od lekarzy, którzy coraz częściej polecają niektórym swoim pacjentom moją metodę.

- Jakie warunki należy spełnić, aby na taki turnus trafić?

- Osoby zgłaszające się muszą pomyślnie przejść badania wstępne, nie mieć ingerencji chirurgicznej, najlepiej w wieku od 12 do 23 lat.

- Dlaczego wiek został określony właśnie w takich granicach?

- Dlatego, że potem w organizmie następują pewne nieodwracalne zmiany, na które wpłynąć bardzo trudno. Ale właśnie w podanych przeze mnie granicach dojrzewania zdecydowana większość moich pacjentów, nawet 98-99 proc. ma wyniki pozytywne.

- Co to znaczy „wynik pozytywny”?

- Są to oczywiście oceny względne, ale świadczące o postępie. To znaczy, jeśli ktoś z grubsza, ma minus 5 dioptrii, a po kuracji uzyskuje wynik minus 4, to już jest wynik pozytywny. Tak samo jeśli jest minus 1, a potem zero. Lub jeśli proces pogarszania się wzroku jest zatrzymany, to też już sukces.

- Największym marzeniem Pana byłoby...

- Pozyskać taką możliwość, abym mógł pomóc jak największej liczbie pacjentów. Oczywiście też zrealizować inne pomysły, których mi nie brakuje.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Wanda Marcinkiewicz

działacze co najmniej z pięć razy zmienili swój punkt widzenia, wymienili swych przyjaciół na tych, którzy mogą jeszcze coś dać (licząc się znajomości), zaufanie Państwa do mnie przysięgam, że ogromną wdzięcznością. Dziękuję za dzielenie się swymi troskami, wypowiedzenie własnego zdania. Oczywiście, byli tacy, którzy choć sami piśmienni, usiłowali namówić abym przyłożył iksowi bądź igrekowi, *przejechał się* po jakiejś organizacji. Całe szczęście, że nie kierował się ślepo tymi donosami. Życie wykazało, że lew, baran i sroka dziś nie mogą obejść się bez siebie, choć wtedy przebywali w różnych zakątkach buszu. Dziś jest tak, jutro - karta może się odwrócić. Wczorajsi przegrani mogą wystąpić jako zwycięzcy - i co wtedy? A trzeba *umieć na każdym zarobić* - uważa wytrawny i majętny gracz. Niech inny za niego się nastawia. *Cudzymi rękami żar grabać* - określał taką sytuację mój dziadek. *C'est la vie* - ujęli to dyplomatycznie Francuzi w sentencję, która pasuje chyba na wszystkie okazje.

Dziś, po zachłystnięciu się swobodą, występuje tylko pozorne wyciszenie, choć rewelacji nie brakuje. Dookoła dzieje się tyle irracjonalnych, jak też planowanych z zimną krwią i premedytacją incydentów, że po prostu z całej gazy dałoby się zrobić jeden olbrzymi felieton, rozdzielony jedynie sensacyjnymi podtytułami.

Przeglądam dawne numery „Znad Wilii”, rubryczkę *Od nowa*. Uzbierało się tego na wcale okazałą książkę ze stu rozdziałami. Skąd taka nazwa - pytają mnie czasami. Ano, człowiek zaczyna zawsze robić porządek od początku. Od nowa też staramy się nie tyle budować zamki na piasku, co walczyć z przeciwnościami życia, od nowa usiłujemy wciąż żyć. Odnowa - możemy napisać to razem, jest renesansem najpiękniejszych zrywów ludzkich w czynieniu dobra. A można je zbudować jedynie eliminując pierwiastki zła.

Sto razy chciałem to uczynić w dobrej, choć może czasem naiwnej wierze.

Tomasz Bończy